



Nowa biblioteka dla dzieci i młodzieży.

JONATAN SWIFT

PODRÓŻE GULIWERA

Z ilustracjami.

*Na bardzo dobre s'wiadczenie pism.
sygnisowi:*

3 1/2 1931.

Mamuric.

WYDAWNICTWO
KSIĘGARNI NAKŁADOWEJ w WARSZAWIE
ul. Marszałkowska № 114.

L9 II 12 f

418750

I

DRUKARNIA „JUTRZENKA“
ul. Chłodna 27.
Warszawa.

U-78/703
10. 1. 30,-



CZĘŚĆ I.

ROZDZIAŁ I.

**W kraju Liliputów. Powody które skłoniły
Guliwera do podróżowania. Podróż morską,
rozbitcie się okrętu.**

Guliwer, bohater niniejszego opowiadania urodził się w prowincji Nottingham w niewielkim majątku, z którego dochody nie wystarczały na wysokie kształcenie aż pięciu, potrzebujących nauki synów.

Był on najstarszy, przytem niepospolitych na wiek swój zdolności. Wysłał więc go ojciec do kolegium w Kembridż, chcąc zrobić uczonym, ale niestety, po trzech latach studjów zmuszony był stamtąd odebrać i umieścić w Londynie na praktyce u słynnego naówczas chirurga Jakóba Bate, u którego Guliwer przebywał przez cztery lata.

Powodem odebrania go z kolegjum był brak pieniędzy. Bracia jego podrastali, trzeba było i o nich pomyśleć, musiał więc dobry ojciec choć z żalem pogodzić się z myślą, że pozostanie Guliwer tylko chirurgiem.

U swego wychowawcy i nauczyciela czuł się Guliwer bardzo szczęśliwy. Byłto człowiek wielkiej zacności i bardzo uczony, opiekował się nim jak ojciec i był zawsze dla niego pobłażliwy i uprzejmy. Rodzice przysyłali mu miesięcznie pewną sumę pieniędzy, którą obracał na kształcenie się w obcych językach i skupywanie dzieł przyrodniczych. Nosił się bowiem wciąż z myślą podróżowania po obcych krajach i dlatego chciał, chociaż za pomocą książy zapoznawać się z przyrodą.

Po ukończeniu nauk u pana Bate, wrócił Guliwer na czas jakiś do ojca zaopatrzony w gotówkę i upewniony o różności przysyłania co miesiąc na studia medyczne, pojechał do Leodjum, gdzie przez dwa lata i siedm miesięcy studjował medycynę, poczem powrócił do Londynu, gdzie pod okiem mistrza miał obszerną praktykę i mógł już pomyśleć o założeniu swego ogni-



ska. Ożenił się więc z Marją Burton, córką kupca i otrzymawszy posag, wynajął obszerniejszy lokal, sądząc, że tym sposobem praktyka będzie zwiększona. Śmierć Jakóba Bate zniszczyła jego nadzieje. Nie mając protekcji, utracił prawie całą praktykę i o mało nie popadł w biedę.

Naradziwszy się z żoną i życzliwymi przyjaciółmi doszedł do przekonania, że nie znalazłszy szczęścia na lądzie, winien go poszukać na morzu.

Przyjął więc obowiązki chirurga na dwóch okrętach i przez sześć lat podróżował po Indjach, zakupując mnóstwo książek i przyuczając się języków obcych.

Ostatnia z podróży nie powiodła się tak dalece, że uprzykrzył sobie morze i postanowił wrócić do żony i dzieci, aby w spokoju pracą swą się zajmować.

Mieszkał w Londynie przez trzy lata, ale, widząc, że interesa są w opłakanym stanie, postanowił znów szukać powodzenia na morzu.

Wyjechał więc Guliwer na południe i przybivszy do miasta Bristolu, zamieszkał tam czas jakiś, aż do nowej wyprawy z tymże kapitanem.

Podróż jego morzem obfitowała w przeróżne przygody.

Spotkała go najpierw burza straszliwa, która z niezwykłą gwałtownością miotła podróżnymi, jak łupiną od orzecha.

Wyrzuciła wreszcie aż na ziemię Van Dajepnen, bardzo blisko południka, gdzie część współtowarzyszy drogi pomarła z wycieńczenia i głodu, inni zaś z marynarzy, rzuceni o skałę zginęli.

Sześciu ludzi wraz z Guliwerem, jedyjni pozostali z całej załogi, uchwyciwszy wiosła ratowało się popychaniem łodzi ratunkowej.

Rzucony na bałwany, zaczął Guliwer pchać się ku brzegom, wyteżywszy wszystkie swe siły.

Był doskonałym pływakiem, przepłynął więc szczęśliwie pół mili morzem i wyszedłszy na brzeg oglądać się począł, czy nie zobaczy człowieka lub jakiej chociażby chaty.

Szedł i szedł bez końca, aż znużony i płynięciem i poszukiwaniem ludzi, rzucił się na murawę i mocno usnął.

Spał aż dziewięć godzin bez przerwy, a gdy po przebudzeniu się chciał powstać

i wyprostować swe członki, z podziwem spostrzegł, iż przywiązany jest do kołków wbitych w murawę i że otacza go gromada maleńkich ludzi, wdrapujących się nań, spacerujących po głowie i piersiach.

Każdy z tych maleńkich miał łuk i strzały za pasem, uzbrojony był jak zwykli wojacy i miał co najwyżej wysokości sześć cali.

Guliwer krzyknął przeraźliwie... Krzyk jego tak ogłuszył i przeraził te małe istoty, że w okropnym popłochu zaczęły umykać we wszystkie strony, spadając z niego i tłukąc się bardzo boleśnie.

Po pewnym czasie powrócili do niego i najśmielszy z nich, zbliżywszy się do Guliwera, wykrzyknął: Hekinah Degul!

Inni powtarzali tożsamo, włączając znów na niego i przyglądając się z ciekawością.

Nie mogąc się ruszyć, cierpiał biedak niewypowiedziane męczarnie i dla tego postanowił się wyzwolić.

Całą siłą, niebacząc na ból sobie sprawiony, szarpnął się z ziemi i w części zerwał pęta, będące grubości cienkiej nitki.

Pozostały jeszcze spętane nogi i część włosów przytwierdzona do murawy.

Na widok tych usiłowań, zakrzyknięto z przerażenia i podziwu, ale tejże prawie chwili rozległ się głos dowódcy: Tolgo Fonak! po którym poczuł Guliwer jakby ułócia od szpilek. Był to grad strzał wypuszczonych z łuków setki wojaków.

Niedość tego; obrzucono go jakby rodzajem bomb, których mocy prawie nie czuł, ale które niecierpliwiły go i oburzały.

Poza tem starali się przebijać go swemi włóczniami, ale na szczęście, miał on na sobie kurtkę ze skóry nieprzemakalnej — ani rusz, żaden z tych malutkich ludzi nie mógł mu zrobić krzywdy.

Wkońcu postanowił leżeć spokojnie aż do nocy, a gdy ta nadejdzie, uwolnić się z więzów i uciec od tych istot, które, prawdziwie mógł podeptać jak robaki, o ile będzie wolny.

Ale inny los był mu przeznaczonym.

Mali ludzie, spostrzegłszy, iż się uspokoił, przestali atakować swemi strzałami i miotać bomby.

Posłyszał Guliwer wkrótce tuż przy lewem uchu jakiś szmer dziwny, jakby brzęczenie muchy, a zwróciwszy się w tę stro-



nę zauważył wzniesienie, jakby katedrę, na której stał człowieczek, trochę wyższy od innych, w sukni z dużym ogonem, podtrzymywanym przez pazia.

Ręce wznosił ku leżącemu i coś mówił. Były tam i pogróżki i słowa zachęty, bo choć nie rozumiał Guliwer słówka, z ruchów jego wywnioskował treść mowy.

Odpowiedział więc zaraz na to gestami aż nadto wymownymi, że jest okrutnie głodny.

Kładł palec do ust, załamywał ręce i doszedł wkońcu do tego, że go zrozumiano.

Natychmiast rozkazał przynieść pożywienie i uwolnić od nitek przytrzymujących włosy...

Stu maleńkich Liliputów, tak bowiem nazywał się ów naród, wdrapało się ku ustom Guliwera, każdy z miseczką mięsa i karmiło go jak małe dziecko.

Zauważył Guliwer, że dano mu mięso z przeróżnych zwierząt; jadł wszystko z wielką łapczywością ku ogromnej ucieście małych gospodarzy, wreszcie zażądał gestami czegoś do picia.

Zrozumiano, że kieliszkami, wielkości małego naparstka nie zdołają napoić, przy-

ciągnięto więc wspólnemi siłami beczułkę z winem, wielkości dużej szklanki i dano mu do wypicia. Wypił za jednym pociągnięciem, tak był spragniony, nowy wybuch śmiechu i podziwu, nowe skoki i tańce Liliputów towarzyszyły temu wychyleniu beczułki...

Śmiech miotał i Guliwerem, boć niepodobna było się od niego powstrzymać, widząc te maleńkie istoty klaszczące w ręce z podziwu i śmiejące się śmiechem do odgłosu owadów podobnym.

Po najedzeniu się i napiciu, pozwolono mu zasnąć.

Spał ze sześć godzin conajmniej i obudził się rzeźki i wesół.

Mały narodek kręcił się wciąż koło niego i pilnował. Widocznie mu nie dowierzał.

Wkrótce przyszła wiadomość od króla Liliputów, że ma się przed nim stawić.

Ale jak? Toć do króla i władcy było daleko, trzeba jechać, a czem?

Konie były wielkości zabawek dla dzieci — takiego konika, jak mają Lilipuci posiadają dzieci.

Te, co były tutaj, zmiażdżyłby człowiek przy wsiadaniu.

Postanowiono więc sfabrykować konia i powóz.

Sprowadzili Lilipuci dużo rzemieślników, a więc: pięć tysięcy rymarzy i cieśli, stolarzy i kowali i wielu, wielu innych.

Kiedy już wykończono, zaszła trudność w usadowieniu Guliwera w powozie.

Bo i jak wciągnąć tak dużego człowieka?

Dziewięciuset Liliputów najsilniejszych i najwyższych, okręciło go sznurem koło szyi, rąk i nóg i ciągnęło na siedzenie powozu,

Wciągnięto go i przytwierdzono, żeby nie wypadł, albo też żeby nie uciekł, i ruszyli w drogę.

Przez cały czas wciągania do powozu Guliwer spał jak zabity i tylko z opowiadań dowiedział się w jaki sposób ulokowano go w powozie.

Przejeżdżając przez jedno z miasteczek powodem był wielkiego przestachu i towarzyszących mu Liliputów i tamtejszych mieszkańców.

Sami byli winni, bo gdy spał spokojnie jak dziecko, jeden z tamtejszych oficerów, podszedł do niego i włożył mu coś spiczastego do lewego nozdrza.

Zbudził się Guliwer i zaczął kichać.

Ach! cóżto był za przestrich... Uciekali wszyscy i młodzi i starzy, dzieci płakały ze strachu i małemi krokami, jak myszki, umykały do domów...

Uśmieł się wtedy wybornie, nawet jeszcze z kilka razy udał, że kicha aby widzieć uciekające maleństwa.

Nazajutrz o świcie przybyli na miejsce przeznaczenia, powitani przez dwór i samego króla.

Ponieważ jego Wysokości nie wypadało wdrapywać się na Guliwera aby go obejrzeć, postanowiono umieścić go na dachu pewnej świątyni, znieważonej przez morderców, więc zamkniętej dla publiczności.

Naprzeciwko świątyni była wysoka wieża, na którą wszedł król Liliputów, w celu przyglądania się osobie Guliwera.

Sto tysięcy mieszkańców wyszło, aby zobaczyć nadzwyczajnego człowieka. Gdyby pozwolono im na wdrapywanie się na niego, byłby zgubiony.

Rozkaz jednak króla, aby nie pozwolono na nic podobnego, powstrzymał mieszkańców od zadawania mu podobnych udręczeń.

Stanął tylko na krużganku, a że łańcuch grubości łańcuszka od damskiego zegarka był dosyć długi, mógł obejść wokół i pokazać się rozciekawionemu ludowi.

ROZDZIAŁ II.

Król Liliputów odwiedza swego więźnia w świątyni. Obdarzenie Guliwera łaskami za łagodność w obejściu z mieszkańcami.

Razu pewnego, gdy Guliwer znużony ciągłym szmerem ludu wciąż mu się przyglądającego, zabierał się do wypoczynku, ujrzał w pewnej od siebie odległości coś świetnie błyszczącego i jak różnobarwny dywan rozścielający się u stóp.

Zdziwiony, co by to być mogło, przyjrzał się uważnie temu dziwnemu, przedtem niewidzianemu tu dywanowi i roześmiał się cicho...

Ten mniemany dywan to była świta królewska wraz z królem, królową i księżniczkami. Zdawał się być różnobarwnym, bo cudne klejnoty zdobiły hełm królewski a prześliczne brylanty i rubiny okalały szyje i upiększały szaty królowej i księżniczek.

Ku Guliwerowi zbliżał się król. Małemi kroczkami szedł ku wielkoludowi, jakim mu się zdawał być więzień i oglądał się poza siebie, czy straż gotowa, w razie zerwania więzów przez Guliwera, przybiedz mu zaraz z pomocą.

Ale Guliwer ani myślał przestraszać króla i dworzan. Przyglądał się z zajęciem królowi tak maleńkiego narodu i odrazu zauważył różnicę między nim a jego poddanymi.

Był wyższy od innych, o twarzy wyrazistej i bladej, z oczami zadumanemi i poważnemi, z godnością w obejściu.

Każdy jego ruch wykazywał stanowisko, jakie piastował, a ubiór bardzo bogaty i lśniący, dodawał mu jeszcze większego uroku i królewską postać otaczał przepychem.

Królowa i księżniczki były ustrojone jak barwnemotyle.

Na ramionach chwiały się frendzle z brylantów, szyje okalały perły i inne drogie klejnoty, suknie przybrane w różnokolorowe hafty i szyte złotem, paliły się w słońcu jaskrawemi promieniami i blask swój rozlewały naokoło.

Małe ich nóżki obute były w złote pantofelki, pończoszki ze srebrnej tkaniny klóciły się o pierwszeństwo z blaskiem błyszczącego na niebie słońca.

W rękę trzymały malutkie wachlarze, również kamieniami drogiemi wysadzone i ochładzały się ich powiewem.

Świta również była inaczej, niż zwykli żołnierze ustrojona.

Wszystko na niej było świeże i błyszczące, wszystko wskazywało, że w towarzystwie króla i władcy nawet ubiór, dla okazania mu szacunku winien być staranniejszy niż zwykle.

Król Liliputów, stanąwszy naprzeciwko Guliwera, coś długo mówił i długo rękami rozmachiwał.

Guliwer mu odpowiedział, ale ani jeden ani drugi niczego, co doń mówiono, nie rozumiał.

W każdym razie zadowolenie było obustronne.

Po odejściu króla, pozostawiono Guliwerowi dość liczną wartę, w celu obronienia go przed natarczywością a nawet złą wolą, przyglądającego mu się narodu.

Kilku z widzów zaczęło wypuszczać ku Guliwerowi strzały, jedna z nich, o mało co nie utkwiała w źrenicy i nie uczyniła go niewidomym.

Udało się warcie pochwycić w swe ręce sześciu z awanturników i związanych postawić przed Guliwerem.

Oskarżeni, bojący się śmierci stanęli przed swym sędzią, oczekując czegoś okropnego z jego strony.

Ale Guliwera rozśmieszyła tylko ich korna i wystraszona mina. Wziął wszystkich w prawą rękę i pięciu z nich włożył do kieszeni. Szósty stał, przyglądając się z trwogą losowi współwinnym.

Naraz Guliwer, wyjąwszy z kieszeni jednego z przywiedzionych przez wartę, udał, że zamierza go zjeść. Wyjął nawet scyzoryk, który Liliputom zdawał się być mieczem olbrzymim...

Przyglądający się temu okropnemu widowisku szósty winowajca, zaczął wydawać przeraźliwe okrzyki, straż i zebrani ludzie również osłupieli na ten widok, nie spodzielali się takich następstw, sądzili, że Guliwer, najwyżej wytrzepie im trochę skórę... Tymczasem... ach! co tu robić? jak ratować?...

Ale strach trwał tylko minutę. Guliwer spojrział z litością na nędzne, małe stworzonka, scyzorykiem przeciął krępujące ich więzy i wypuścił wszystkich sześciu na wolność.

Umykali jak szczury, nie oglądając się poza siebie. A lud cały i warta z uznaniem patrzeli na litościwego olbrzyma.

Przybycie wielkiego człowieka do kraju Liliputów zajęło umysły mieszkańców, którzy rozgłosili naokoło o tem dziwnem zjawisku.

Porzucono warsztaty, opuszczono dom, ziemia nieuprawiona leżała odłogiem, bo nie było nikogo do pracy.

Wszyscy pędzili do miejsca, gdzie niezwyklej wielkości człowiek przesiadywał, jako więzień dając sobie oglądać i podziwiać.

Król zatrwożył się wielce tem bezrobociem i ogłosił rozkaz, nakazujący powrót do pracy w polu i wzbronił więcej jak raz oglądać Guliwera.

Przyjeżdżało teraz i przychodziło mniej ludzi, ale niezawsze słuchano rozkazu, co do jednorazowej tylko wizyty... Znalazły się sposoby przyglądania się i kilka razy... Bo od czegoż są łapówki?... Wszak u Lilipu-

tów byli też tacy, których można było przepłacić...

Po niejakiś czasie, gdy nastarczyć nie było można jedzenia i picia, gdy koszta utrzymania Guliwera groziły zagłodzeniem całego kraju, postanowiono się go pozbyć.

Ale jak? Ot, poprostu — radził jeden z przybocznych króla — nie dać mu jeść ani pić... Niech umrze z głodu!...

Drugi litościwszy, radził, aby zastrzelić Guliwera strzałami zatrutemi, koniec będzie prędzszy i męczarnie krótsze.

Ale król zadumał się nad tem i zapytał, co zrobią w razie śmierci olbrzyma z jego ciałem?

Napewno wybuchnie zaraza, gdy leżąc będzie na ich ziemi i powymiera lud cały wraz z królem i jego rodziną...

Poopuszczali głowy na piersi wszyscy radcy i urzędnicy królewscy, bo nie wiadomo było, co począć z tym olbrzymim przybyszem.

Naraz weszło kilku nowych do rady i słysząc o kłopotcie, sprawionym przez Guliwera i o chęci pozbycia się go w sposób okrutny, w gorących słowach zaczęli opowiadać o litościwem sercu Guliwera, zwol-

nieniu zbrodniarzy, którzy go o mało co nie pozbawili wzroku, miotając weń strzały.

Wzruszył się król, wzruszyli się urzędnicy i doradcy, wszyscy naraz odmienili swe zdanie i radzili utrzymać przy życiu Guliwera. Król wydał rozkaz, aby ze wsi, po kolei, dostarczano codziennie dla Guliwera sześć wołów, czterdzieści baranów i mnóstwo innych środków żywności, nie licząc wina i przeróżnych napojów.

Za to wszystko król Liliputów miał wydawać kwitki, wypłacane przez urzędników.

Zapewniwszy Guliwerowi pożywienie, rozkazał trzystu krawcom uszyć dla niego ubranie, stosownie do mody, przyjętej w kraju, i sprowadził sześciu uczonych, którzy mieli go nauczyć lilipuciego języka.

Guliwer, posiadając ogromne zdolności, bardzo prędko wyuczył się tego trudnego i dziwnego języka.

Pierwszem jego zdaniem wyrzeczonem do króla, było błaganie o wolność.

Król obiecał to uczynić, ale bez zebra-
nia rady kraju zrobić tego natychmiast nie był w możności.

Poradził mu przytem, żeby dobrocią i cierpliwością zasłużył sobie u narodu na

szacunek i zaufanie i żeby, chcąc być uwolnionym od więzów przyjął grzecznie wizytę kilku oficerów, którzyby go obrewidowali, i to, coby mogło stać się kiedyś dla państwa niebezpiecznem zabrali do skarbca.

Zapewniał przytem, że wszystko odebrane zostanie pod słowem honoru zwrócone, gdy zechciałby stąd odjechać.

Guliwer zgodził się na te warunki i gdy przybyli oficerowie poddał się rewizji z uległością. Sam wkładał ich do swych kieszeni, aby przeglądali je dokładnie i co uważają za szkodliwe dla państwa zabierali.

Jedną rzecz tylko dla siebie zachował, mianowicie okulary i lunetę. Nie pokazał im tego, bojąc się, że gdy będzie tego potrzebował, leżeć będą te przedmioty u króla, lub też potłuczone do niego powrócą.

Oficerowie mieli ze sobą papier, pióro i atrament i zapisywali co znaleźli u Guliwera. Ten osobisty inwentarz opisany był w następujący sposób:

„Po przejrzeniu rzeczy znajdujących się u Olbrzyma, znaleźliśmy w lewej kieszeni duży kawał białego płótna, tak wielki, że mógłby służyć za dywan w sali przyjęć królewskich i wielki srebrny kufer, którego

w żaden sposób nie mogliśmy otworzyć. Poprosiwszy o to olbrzyma, weszliśmy do środka; jeden z nas, okryty od stóp do głów jakimś gryzącym kurzem, kichał przez dwie godziny, drugi przez siedm minut.

W kieszeni prawej znaleźliśmy jakąś maszynę płaską o bardzo długich zębach, która przypominała ogrodzenie przy dworze królewskim.

Były też dziwne jakieś białe i cienkie kawałki na których były duże czarne figury — o ile się nam zdaje było to jakieś pismo.

W małej bocznej kieszeni znaleźliśmy sztuki jakieś okrągłe i płaskie, były to zapewne pieniądze, ale tak ciężkie, że we dwóch unieść jednej takiej sztuki nie mogliśmy.

Ale najdziwniejszym przedmiotem było coś okrągłego zawieszonego na łańcuchu. Przypominało to nam kulę ziemską. Z jednej strony było srebrne, z drugiej przezroczyste.

Przyłożyliśmy tę maszynę do uszu i o, dziwo! pukało coś i szemrało we wnętrzu.

Zrozumieliśmy, że to jakieś nieznane nam zwierzę albo też bóstwo, któremu się ów olbrzym kłania. To ostatnie przypuszczenie jest pewniejsze, gdyż mówił nam, że

tego przedmiotu radzi się we wszystkim, on wskazuje mu co ma kiedy robić... Najwiedoczniej, to jego bożek. Znaleźliśmy również obręcz ze zwierzęcia, na której wisiał miecz, długości sześciu ludzi,

Taki jest inwentarz olbrzyma, który do nas przybył i który, po odebraniu mu różnych rzeczy zagrażających spokojowi państwa, będzie zwolniony z więzienia.

Po odczytaniu spisu rzeczy należących do Guliwera, monarcha poprosił go o oddanie do skarbcza pałasza, miecza, zegarka i innych przedmiotów, które zdawały mu się być narzędziami do mordowania przeznaczonemi.

Guliwer oddał chętnie na przechowanie, śmiejąc się do rozpuku z trudności, jakie mieli maleńcy ludzie przy przenoszeniu tych rzeczy.

Najpierw oddał mu pałasz, który tak wszystkich przerażał.

Trudność była z tem ogromna, jak go przenieść do skarbcza.

Trzem tysiącom najsilniejszych ludzi z dworzan i służby monarszej kazano zabrać się do przeniesienia tego ciężaru.

Otoczono Guliwera przy zdejmowaniu przez niego pałasza, bojąc się, żeby nie zużytkował na złe swej siły.

Ludzie ci mieli w rękach swych strzały i luki, gotowi bronić się przed Guliwerem.

Guliwer zdjął spokojnie pałasz i podał gromadzie obecnych Liliputów.

Rozległ się przy tem krzyk całego tłumu i oklaski wesela.

Monarcha kazał mu najciszej jak potrafi zdjąć ów pałasz i położyć na ziemi.

Gdy Guliwer wypełnił to życzenie, kazono mu zdjąć z siebie rewolwer, którego nie widzieli nigdy w swem życiu i ciekawo go byli z bliska zobaczyć.

Zdjął Guliwer i z uśmiechem upewnił monarchę, że mu się nic nie stanie, żeby się nie bał niczego, gdy pokaże mu sposób użycia tej broni.

Nie pomogło uprzedzenie. Krzyk rozległ się straszliwy, gdy wypalił Guliwer z pistoletu, a nie tylko krzyk. Popadali wszyscy na ziemię ze strachu i sam król przez długi czas nie mógł przyjść do siebie, tak był przerażony.

Guliwer oddał mu dwa pistolety i dwa woreczki kul i prochu, przestrzegając, żeby

worek z prochem nie zetknął się ogniem, bo by pałac mógł wylecieć w powietrze.

Potem odebrano od Guliwera zegarek, który ich ogromnie zaciekał i przyglądano mu się i podziwiano odgłosy.

Dwóch dworzan wzięło kij i zawiesiwszy zegarek przeniosło go do skarbcza na ramionach.

Zupełnie tak, jak piwowarzy przenoszą beczkę piwa do piwnicy.

Zdziwieni byli ciągłym szmerem, dobywającym się z wnętrza zegarka i ruchem igły, godziny wskazującej.

Potem Guliwer oddał srebrne i miedziane monety, również woreczek z dzie więciu dużemi sztukami złota, i sądził że mu resztę rzeczy i drobiazgów zostawia.

Ale gdzieżtam! Lilipuci król był bardzo łakomy na nieswoje...

Kazał wszystko a wszystko oddać. A więc grzebień, srebrną tabakierkę, chustkę do nosa, notes.

Pałasz, pistolety, woreczki z prochem i kulami zanesiono do arsenału jego Wysockości, żeby nie stało się nieszczęście, reszta przeniesiona została do skarbcza.

Guliwer pozbawiony grzebienia, chustki do nosa i innych niezbędnych przedmiotów, zirytowany był ogromnie, ale cóż miał począć z małymi tyranami?

Toć, gdyby chciał, podeptałby te maleństwa i wyszedłby z tego lilipuciego kraju.

Nie chciał jednak ich krzywdzić, tembardziej, że był bardzo ciekawy rządów w tym kraiku i wszystkich zwyczajów tego maleńkiego narodu.

Ale Guliwer miał jedną kieszeń sekretną, której nie pokazał Liliputom.

Sądziłi oni, że tylko w wierzchniem ubraniu są kieszenie i dla tego udało się Guliwerowi omylić czujność maleńkich ludzi i pozostawić sobie niektóre potrzebne przedmioty.

A więc pozostawił sobie okulary, które musiał nieraz używać z powodu słabego wzroku, teleskop, tak niezbędny na okręcie, pilnik i inne drobiazgi.

Guliwer oddałby i to z chęcią, bo obiecał pokazać wszystko królowi Liliputów, ale wiedział, że król nie będzie miał z tego żadnego pożytku.

Co do rzeczy zabranych do skarbcza, to Guliwer zapowiedział Liliputom, że odjeź-

dżając kiedyś z ich kraju, będzie miał wszystko zwrócone.

Obiecano, ale czy dotrzymano obietnicy, zobaczymy.

Tymczasem było widok tak pocieszny, przy przenoszeniu rzeczy, że Guliwer wybuchnął co chwila śmiechem, przerażając nim Liliputów.

Mali ci ludzie, drżeli wciąż przed Guliwerem, przestraszało ich wszystko: kichnięcie, kaszel, śmiech, nawet mowa.

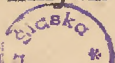
Zdawało się im, że to huk armat, grzmoty i pioruny.

A on mówił cicho, szeptem prawie, nie chcąc im robić przykrości...

ROZDZIAŁ III.

Widowisko dane na cześć Guliwera. Niebezpieczne skoki lilipucich ministrów. Warunki, na mocy których Guliwer odzyskał wolność.

Król Liliputów, chcąc w jaknajlepszym świetle postawić swe państwo i wykazać przed Guliwerem talenty swych poddanych, postanowił urządzić na jego cześć widowisko, którego treść miały stanowić tańce i skoki, niewidziane u innych narodów.



Cały dwór z ministrami i służbą zbliżył się do miejsca, gdzie był uwięziony jeszcze na czas jakiś i przy odgłosie bębenków, trąbek i piszczałek rozpoczęto widowisko.

Rzeczywiście lekkość tych ludzi przewyższała zręczność i obrót motyli. Coś nadzwyczajnego przedstawiało się oczom Guliwera, który patrzył jak na istoty fruwające, nie chodzące po ziemi.

Zachwyciły go najbardziej tańce na cieniutkiej jak pajęczyna niteczce, która zdawała się być niewidzialną.

Podziwienia godnymi były też przeskakowania ministrów przez miecz albo łaskę, trzymaną przez monarchę i jednego z książąt.

Zdawałoby się, że skoki takie winny uwłaczać ministrom, osobom poważnym i chcącym być szanowanymi przez naród.

Tymczasem u lilipuciego narodu wręcz przeciwne były przekonania.

Ten, który pragnął zostać ministrem, albo też, będąc już nim, zaskarbić u monarchy swego łaski, musiał być lekkim, jak piórko i umieć pływać w powietrzu jak motyl.

W ten sposób zyskiwano wyższe godności i otrzymywano dowody łask nadzwyczajnych.

Niezręczny tancerz, niefortunny skoczek karany był wpadnięciem w niełaskę a nawet usunięciem od piastowanych przedtem godności.

Dewizą, było tutaj w stosunku do monarchy: „Tańcz, jak ci zagrają“.

Nie umiałeś, biedny dygnitarzu podnieść się tak wysoko od ziemi, jak chciał twój monarcha, a więc idź za góry i lasy...

To też ministrowie po całych nietylko dniach ale i nocach zaprawiali się do skoków i tańców widowiskowych.

I teraz też, przed przyjściem na zapowiedziane przed kilku dniami widowisko, nie jedli, nie spali, tylko chcąc stać się coraz łżejszymi, nie pili nic prócz odrobiny ocukrzanej wody aby nie zemdleć z wycieńczenia, skakali i wzbijali się w górę.

Guliwer, leżąc, aby lepiej widzieć mistrzów tańca i dwór królewski, gdyż stojąc dostrzedz tego mrowia nie był w możności — przyglądał się z uśmiechem dobijaniom się o łaskę monarszą.

Chwilami ogarniało go przerażenie, żeby który z tych ministrów nie upadł na coś twardego i nie utracił życia.

Słyszał bowiem od jednego z wartujących go żołnierzyków, że zdarza się to bardzo często, nie budząc wcale litości niczyjej, ani współczucia dla pozostałej rodziny.

Niezgrabność u Liliputów jest taką samą winą, jak gdzieindziej bandytyzm. Karano ją w tenże sam sposób.

Na stole prezydjalnym u króla leżały trzy cieniutkie niteczki: czerwona, żółta i biała.

Najzręczniejszy ze skoczków otrzymywał czerwoną, mniej zręczny żółtą a najmniej wiotki białą.

Przypinano im to, jak order, który nosząc szczycili się tą odznaką i wzbudzali w narodzie szacunek.

Po widowisku, które prawdziwie zachwyciło Guliwera, postanowił ten ostatni znów rozpocząć prośby o uwolnienie i pozwolenie swobodnego przechodzenia z miejsca na miejsce.

Słał więc jedną prośbę za drugą do monarchy, aż ten, znudzony zapewne ciąglem odczytywaniem jego podań, postanowił ze-

brać Radę Stanu i przedstawić prośby olbrzyma.

Na zebraniu, zwołanem przez Wysokość, zebrali się wszyscy ministrowie i wysłuchawszy podań, zawyrokowali możliwość wypuszczenia na wolność Guliwera.

Jeden tylko z obecnych, minister Bolgolam, oświadczył się przeciw wysłuchaniu prośby Guliwera. Był to i w przyszłości wróg nieprzejednany olbrzymiego człowieka, którego nie lubił i nawet bał się potrosze.

Bolgolam zgodził się na uwolnienie, tylko z tego powodu, żeby się nie sprzeciwiać monarsze, ale jednocześnie zażądał, aby on, nie kto inny napisał warunki, pod którymi otrzyma zwolnienie Guliwer, człowiek w jego mniemaniu niebezpieczny.

Zgodzono się na to i sam minister, w otoczeniu dwóch sekretarzy nadwornych, odwiedził Guliwera, aby przedstawić mu wypisane warunki i kazać zaprzysiąc owe zobowiązania.

Warunki które powtarzamy dosłownie były następujące:

„Golbasto Momaren Gendillo Szefin
Mully Ullly Gue, — Monarcha wszech-

potężny, król Liliputów, postrach i groza całego wszechświata, którego państwo rozciąga się na sześć mil wokoło— Władca wszystkich władców, najwyższy z narodu, którego stopy sięgają wnętrza ziemi, a głowa dotyka obłoków, na którego jedno spojrzenie drżą wszyscy poddani; piękny jak wiosna, miły jak lato, hojny jak jesień, okrutny jak zima—proponuje olbrzymowi przybyłemu na jego ziemię następujące warunki, które ten olbrzym ma zaprzysiądz i spełnić:

- I Olbrzym nie wyruszy z ziemi Liliputów bez królewskiego pozwolenia.
- II Nie odwiedzi stolicy bez pozwolenia i uprzedzenia o swym zamiarze, aby mieszkańcy ukryli się w domach dla bezpieczeństwa.
- III Olbrzym ma prawo chodzić tylko szeroką drogą, unikając wązkich ścieżek i pól obsianych zbożem.
- IV Przechodząc drogą ma uważać, aby nie zdeptać którego z Liliputów, lub też nie brać do rąk tak ludzi, jak i koni z powozem.



- V Jeśli poseł królewski zmuszony będzie odbyć jakąś nadzwyczajną wyprawę, podczas której musiałby być niewidzialnym, winien olbrzym nosić go na miejsce przeznaczenia w jednej ze swych kieszeni i zwrócić go zdrowym i całym na dwór królewski.
- VI Olbrzym ma być aljantem przeciw nieprzyjaciołom na wyspie Blefusku i dołoży wszelkich starań aby zniszczyć ich flotę, którą przygotowują oddawna w celu napaści na ziemię Liliputów.
- VII Olbrzym w chwilach wolnych od zajęć, pomagać ma robotnikom przy dźwiganiu dużych kamieni i wznoszeniu murów przy parku królewskim i zamku.
- VIII Po zaprzysiężeniu wyżej wymienionych warunków, olbrzym otrzymywać będzie na pożywienie dziennie mięsa i napojów tyle, ileby zjadło na dzień 1900-ciu set Liliputów.

Dane w pałacu Belzaborak, w dwunastym dniu dziewięćdziesiąt pierwszej odmiany księżyca naszego panowania.

Guliwer złożył uroczystą przysięgę na warunki, najpierw według europejskiego wyczaju, potem na sposób praktykowany

u Liliputów, mianowicie, wziął stopę nogi prawej w dłoń lewą i palec położył na czubku prawego ucha.

Zdjęto z Guliwera więzy i był już wolny.

Podziękował monarsze, obecnemu tej ceremonji, ułożywszy się u jego stóp, ale ten łaskawie poprosił o natychmiastowe powstanie z ziemi.

Guliwer był nad wyraz szczęśliwy! Biegał, skakał, jak szalony ku uciechu a i przeobrażeniu Liliputów, bojących się być zdeptanymi jak robactwo.

ROZDZIAŁ IV.

Opis stolicy Liliputów, miasta Mildendo i pałacu monarchy. Rozmowa Guliwera z sekretarzem stanu o sprawach państwa.

Pierwszą chęcią Guliwera po otrzymaniu wolności, było obejrzenie głównego miasta u Liliputów.

Prośba wniesiona przed monarchę została przyjęta z warunkiem, że żadna krzywda nie stanie się mieszkańcom, zarówno jak i ich domom.

A trudna to była sprawa.

Domy, stosownie do wzrostu Guliwera, były u jego stóp, bał się zawadzić ubraniem, aby nie znieść z powierzchni ziemi budynków, w mniemaniu Liliputów bardzo wysokich i okazałych.

Domy te miały po trzy piętra, balkony i wykusze i były artystycznie zbudowane.

Wązkimi ulicami Guliwer nie mógł chodzić, po jednej więc tylko szerszej ulicy mógł spacerować i oglądać.

Wszystkim mieszkańcom nakazano aby siedzieli w domach podczas wizyty byłego więźnia, to też balkony, okna, nawet dachy wypełnione były ciekawymi Liliputami i Liliputkami. Na ulicy spotkał Guliwer tylko kilka osóbek, które nie zdążyły uciec do domu przed przyjściem olbrzyma.

Z jakąż uwagą stąpać musiał Guliwer, aby tych maruderów nie zdeptać!

Niektórzy z mieszkańców, nieobecni wtedy w mieście, gdy herold wydawał rozkazy, aby nikt nie chodził po ulicy, gdy olbrzym wejdzie na oglądanie miasta, płatali się pod nogami Guliwera, który z wielką ostrożnością stąpał, oglądając się na wszystkie strony.

Miasto, które oglądał Guliwer mogło pomieścić maleńkich istot pięćset tysięcy, a dla jednego Guliwera za ciasne. Można sobie wyobrazić, co to za mali ludzie ci Lilipuci.

To też Guliwer bardzo musiał wzrok wyteżać, żeby którego z zabłąkanych nie zdeptać.

Pałac królewski mieści się w samym środku miasta na najszerszej z uliczek. Otoczony był murem wysokim i znajdował się o dwadzieścia kroków od zabudowań mieszkańców.

Monarcha Liliputów pozwolił łaskawie Guliwerowi aby przeszedł przez mur i przyrzekł się jego pałacowi ze wszech stron.

Guliwer radby zajrzeć także do pokoi królewskich, ale to było niemożliwe ze względu na mały obszar. Ani myśleć było o położeniu się, a stojąc widziałby tylko dachy. Musiał nasz podróżnik pogodzić się z losem i nie zobaczywszy dobrze wnętrza pałacu powrócić do domu.

Po piętnastu dniach spędzonych na wolności, Guliwer miał niespodziewaną wizytę.

Przybył do niego sekretarz stanu, w towarzystwie jednego z dworzan.

Rozkazawszy stangretowi, aby poczekał nań, prosił Guliwera o godzinę rozmowy.

Chciał on położyć się na ziemię, aby móżdż go słyszeć, gdy zbliżył się do ucha, ale wołał, żeby go wziął w rękę, i w ten sposób rozmawiać.

Naopowiadawszy Guliwerowi mnóstwo komplementów i nacieszywszy się jego użytkowaniem swobody, rozpoczął opowiadać o dwóch wrogach państwa. Pierwszym wrogiem były niesnaski wewnętrzne, mianowicie naród Liliputów dzieli się na dwie partje: jedna z nich nosi wysokie obcasy, druga niskie.

Na tem tle ciągle nieporozumienia i spory, ci, co mają wysokie obcasy, nie chcą obcować, ani jadać z tymi, co noszą niskie, i naodwrot. Król nosi jeden obcas wysoki, drugi niski, żeby jednych upodobania i drugich uszanować i dlatego trochę utyka.

Drugim wrogiem krajem, ale już zewnętrznym, — opowiadał sekretarz stanu, — jest naród zamieszkały na wyspie Blefusku, jestto państwo bardzo wielkie, tak wielkie, jak i Liliputów...

Naród na wyspie Blefusku prowadził już parę razy walkę z Liliputami, a to z tego powodu:

Pradziad obecnie panującego monarchy, rozkazał napoczynąć przy jedzeniu jajka, od spiczastego końca, nie jak dawniej, od większego czubka. A to z powodu, że któryś z jego wnuków, jedząc jajko otwarte z szerszego czubka, podczas spożywania, bawiąc się nożem, obciął sobie paluszek. Rozkaz ten nie podobał się niektórym poddanym nawykłym do rozbijania jajka w dawny sposób.

Zaczęli się buntować, a prześladowani przez tych, co z łatwością przyjęli rozkaz, uciekli na wyspę Blefusku i namówili do wojny.

Lilipuci wzięli jeńców i zdobyli trochę zapasów żywnościowych od wroga, ale też i sami dużo stracili, bo 30 tysięcy żołnierzy i kilkanaście okrętów.

Z opowiadania sekretarza stanu wynikało, że monarcha, ufając sile Guliwera, ma nadzieję, że szlachetny olbrzym pomoże Liliputom w odebraniu okrętów i zwyciężenia wroga, który, jak już mu donosili szpiegowie, zbroi się znów do walki.

Guliwer z największą chęcią obiecał pomódz, a nawet oddać życie, o ileby to było konieczne.

Sekretarz mocno uradowany pożegnał Guliwera i wsiadłszy w przepyszny powóz, zaprzężony w cztery czarne koniki, odjechał, aby zdać raport monarsze, o bytności u Guliwera i skutku swej z nim rozmowy.

ROZDZIAŁ V.

Zbrojenie się wroga. Zdobycie kilkudziesięciu okrętów przez Guliwera.

Guliwer, przypatrując się przez lunetę zbrojeniu nieprzyjaciela, których oddzielał tylko kanał, przyszedł do przekonania, że zanim zjadą na ziemię Liliputów, powinienby z nimi zrobić porządek.

Zwierzył się z tem monarsze, który z największą chęcią projekt przyjął i co mu potrzebne do porwania okrętów nieprzyjacielskich, robić kazał.

A więc zrobiono mu, przy jego naturalnie pomocy haki duże i mocne, do których uwiązał Guliwer sznury i wszedł z temi przyborami do kanału.

Kanał nie był głęboki, Guliwer szedł w nim bez obawy o zatonięcie, woda bowiem nie sięgała w najgłębszych nawet miejscach do kolan.

Przybliżywszy się do okrętu, uśmieł się ogromnie z przestachu pilnujących okręty.

Uciekali w popłochu, przerażeni widokiem nieznanego im olbrzyma, pozostawiając wszystko na pastwę.

Ale niedługo to trwało. Przekonawszy się, że niebezpieczeństwo zagraża ich flocie, zwołali wojsko, wynoszące ze 30 tysięcy żołnierzy i rozpoczęli strzelaninę.

Gradem strzał osypany Guliwer, przede wszystkim bał się o utratę wzroku, włożył przeto czempredziej okulary, aby w ten sposób uchronić się od ślepoty i założywszy haki do okrętów, czempredziej zaczął je ciągnąć do brzegu.

Rozpacz, przerażenie, ogarnęły mieszkańców, puszczono strzały, ale nasz olbrzym nie zważał na ukłócia, choć były czasem bardzo bolesne i mknął po kanale do Liliputów.

Król Liliputów, widząc tylko okręty, sądził, że Guliwer został zabity a okręty te,



to flota nieprzyjacielska, przybywająca do nich na wojnę.

Wkrótce jednak wielka radość zapanowała u Liliputów. Ujrzano Guliwera ciągnącego na sznurach okręty i posłyszano jego radosny okrzyk: „Niech żyje król Liliputów“.

Obdarzono natychmiast bohatera najwyższym orderem za zwycięstwo i nadano mu godność „nardaka“, który to zaszczyt rzadko kiedy się komu dostawał.

Ale wkrótce zaszło małe nieporozumienie z monarchą.

Król Liliputów rozsmakowawszy się w powodzeniu, życzył sobie, aby Guliwer i resztę okrętów zdobył i przyciągnął do jego kraju. W ten sposób naród na wyspie Blefusku byłby zupełnie pobity i musiałby przyjąć zwyczaj rozbijania jajka od spiczastego końca.

Ale Guliwer stanowczo się temu oparł.

Jakto? on, co tak miłuje wolność, dla której gotówby życie poświęcić, miałby skazywać naród wyspy Blefusku na niewolę, miałby, korzystając z tego, że urodził się wyższym, pogrążyć mały naród w nieszczęściu?...

Nigdy! To byłoby nieszlachetnie!..

Guliwer, nie godząc się na grabież, oburzył i obraził monarchę, ale nie cofnął swego postanowienia.

Wkrótce, za dni kilka przyszło poselstwo z wyspy z monarchą na czele, prosząc o pokój.

Pokój był zawarty, monarchowie dla formy odwiedzili Guliwera, a zwyciężony król prosił serdecznie, aby przybył do nich i odpoczął na wyspie, której jeszcze nie zna, pomimo, że już ośm miesięcy przebywa u Liliputów.

Guliwer obiecał z największą uprzejmością, i rzeczywiście był ogromnie ciekawy tego morskiego państwa, które potrafiło zbudować tyle okrętów i tak bohatersko bronić się od Liliputów.

ROZDZIAŁ VI.

Zwyczaje Liliputów, ich literatura, prawa, sposób wychowywania dzieci. Guliwer ucieka od Liliputów na wyspę Blefusku.

Przyglądając się życiu Liliputów, Guliwer doszedł do przekonania, że małeńkość ich postaci nie miała żadnego ujemnego wpływu na ich stopień umysłowy i moralność.

Lilipuci od dziecka wdrażani byli do cnót i szlachetnego obejścia się z ludźmi.

Największą wzgardą otaczano ludzi krzywdzicieli i tych, którzy nieszlachetnie poczynali ze swymi bliźnimi.

Dziecko Liliputów było wychowywane praktycznie.

Do lat czterech tylko potrzebowało niańki, po skończeniu tych lat małe Lilipuciątko musiało się samo ubierać i już zaczynało się uczyć.

Obejście się takie z dziećmi stosowało się do obojga płci.

Mały taki człowieczek już musiał sam sobie zapinać spodeńki i bluzeczkę, sam mył się i czesał.

Robiło mu to z początku dużo trudności, ale musiał to zrobić, więc się po jakimś czasie nauczył.

Dziewczynkom sprawiały kłopot włosy, ale w parę miesięcy wyuczyły się doskonale upinać swe warkoczyki i obuwać małeńkie swe pantofelki.

Nauka była dość ciężka. Czytanie i pisanie było dość trudne, zaczynające się od dołu stronicy i mające jak u Chińczyków tyśiące kresek i znaków, zmieniających zupeł-

nie w jednej i tej samej literze znaczenie wyrazów.

Ale dziecko Liliputa, prócz wielkich zdolności, posiadało chęć dużą do poznania wiedzy i dla tego bardzo prędko wyuczało się czytać, tembardziej, że prowadzili naukę bardzo mądrzy i praktyczni nauczyciele.

Co do wierzeń religijnych, Lilipuci byli wzorem przestrzegania takowych.

Do pracy umysłowej nie przyjmowano ludzi nie wierzących w Boga.

Twierdzono i zupełnie słusznie, że takiemu ufać nie można, który nie ufa i nie wierzy w Opatrzność.

Powierzano więc najwyższe godności tylko ludziom wierzącym i starano się nie dopuszczać do rządzenia niedowiarków.

Kary na dzieci były zupełnie zniesione. Rozkaz monarchy, a i wola przełożonych i rodziców zabraniała wszelkich kar podczas nauczania.

Dobrocią i namową wpajano tak naukę, jak i zasady moralne.

Odnosiło to bardzo dodatnie skutki; dzieci Liliputów, a potem dorośli, byli wzorem moralności i uczciwości.

Ciekawe były sądy u tego narodu, a zarazem oryginalne.

Jeśli się kiedy zdarzyło, że ktoś doniósł na kogoś coś spotwarzającego, natychmiast zabierano się do skrupulatnego przejrzenia całej sprawy i o ile okazał się fałsz ze strony skarżącego, skazywany był na śmierć haniebną, a wszystkie jego dobra szły na rzecz niewinnie posądzonego i oskarżonego.

O ile oskarżyciel był ubogi, monarcha ze swej szkatuły nagradzał niewinnego, dając mu byt dostatni.

Niewdzięczności u Liliputów prawie nie widać, jestto bowiem wina wielka i przestępstwo nigdy u narodu tego nie praktykowane. Ten co okazał się niewdzięcznym, tem samem jest napewno wrogiem całemu światu.

Ale to widocznie tylko w stosunku do swego narodu, bo względem Guliwera naród ten okazał się bardzo niewdzięcznym i o wiele szlachetniejsi byli mieszkańcy wyspy Blefusku, o czem przekonamy się niebawem.

Ciekawe są zapatrywania Liliputów na sposób wysławiania się i pisania.

Nie znoszą napuszonego języka, ani zwrotów krasomówczych. Wszystko musi być pisane naturalnie, bez egzaltacji, w prze-

ciwnym razie, niefortunnych pisarzy wyganiają za miasto, okładając kijami i zawieszają na ich plecach, znieważające napisy.

Rozważając prawa i obyczaje Liliputów, Guliwer doszedł do wniosku, że mały ten naród ma dużo rozumu i jeśli by się wyzbył pewnych dziwactw i przesądów, byłby bardzo sympatycznym i przykładowym.

Tak jak się to zdarza i u innych narodów. Są dobre i są złe strony, mądre i ograniczone...

Razu pewnego, gdy Guliwer w najlepsze zasypiał, dał się słyszeć szelest, poczem smuga światła padła mu na wpół przymknięte oczy...

Guliwer przyjrzał się lepiej i zobaczył lektykę z wielkim dygnitarzem dworu, któremu niegdyś uczynił dość znaczną przysługę.

Zdziwiony nie zdążył jeszcze zapytać, co znaczy ta nocna wizyta, gdy paż poprzędzający gościa podszedł, zawiadamiając, że dygnitarz ma jakąś ważną, a tajemniczą rozmowę do przeprowadzenia.

Wziął wtedy Guliwer lektykę wraz z dygnitarzem do kieszeni i zaniósłszy do swego pokoju, postawił na stole, nachylając

się ku niej, aby słyszeć rozmowę swego niespodziewanego gościa.

Przedtem jeszcze kazał pozamykać drzwi od pokoju i bramę, aby nikt nie przeszkodził ich tajemniczej rozmowie.

Po wstępie i wypowiedzeniu wielu komplementów, co było we zwyczaju u Liliputów, Guliwer posłyszał wiele nieprzyjemnych rzeczy.

Mianowicie: Postanowiono wytoczyć mu sprawę o obrazę Majestatu, a to z powodu nieusłuchania monarchy, gdy ten chciał aby mu całą flotę nieprzyjacielską przyciągnął i żeby zgniótł bohaterski naród z Blefusku.

Następstwem tej sprawy byłoby podpalenie domu, w którym mieszkał teraz Guliwer i zastrzelenie, o ileby chciał umknąć, za trutemi strzałami.

Wszystko to, jak mówił dygnitarz, było dziełem ministra, który znienawidził za to Guliwera, iż ten jednym zamachem przywiódł kilkadziesiąt nieprzyjacielskich okrętów i w ten sposób zdobył tytuł i dostojęństwo.

Chciał się go pozbyć minister, aby być raz na zawsze uwolnionym od współzawodnika.

Bo cóż można wiedzieć? Gotówby monarcha za zasługi Guliwera zrobić go ministrem.

Trapił się i trapił, zazdrościł i zazdrościł, aż wymyślił sprawę o obrazę Majestatu.

Guliwer zmartwił się opowiadaniem dygnitarza, ale ten pocieszając go, że ma przyjaciela sekretarza stanu, oznajmił, co następuje:

Sekretarz stanu i on tu obecny uprosili monarchę, aby nie odbierać Guliwerowi życia, ale by go oślepić i dalej, pomimo wielkich kosztów trzymać.

Monarcha na to się zgodził, i pomimo oporu ministra, postanowiono to wykonać.

Jednocześnie wyszedł projekt, aby zmniejszać porcję jedzenia olbrzymowi, w ten sposób, żeby powoli głodem przymierał i życie swe wkrótce zakończył.

Mówiąc to, dygnitarz wzdychał i jęczał z żalu, ale jednocześnie podziwiał szlachetność monarchy, który za tak wielkie przewinienie śmiercią karać nie chce, pamiętając, że Guliwer zrobił mu niegdyś przysługę.

Pożegnawszy się czule z Guliwerem, powędrował z jego kieszeni do lektyki, która

uniosła maleńkiego dygnitarza o wielkiem i współczującym sercu.

Po odjeździe wysokiej figury dworu, Guliwer usiadł i głęboko się zamyślił.

Co zrobi? jak wyswobodzi się od tych małych morderców?

A toż utrata oczu, którą oni uważają za duże złagodzenie kary, jest dla Guliwera gorszem od śmierci!

Co mu po życiu, gdy zatrute strzały puszczzone dłonią nienawidzącego go ministra, przebiją mu źrenice i na świat boży cień rzucają?! Co mu po tem, że żyć będzie znie-dołączniały i ciemny!..

Może śmiesznym się wyda czytelnikowi ten ogromny, w porównaniu z Liliputami Guliwer, który trwoży się i boi lilipuciego, wielkości jego palca narodu.

Ale Guliwer był szlachetnym i honorowym. Nie mógł rzucać się na mrowie, które mógł nogą jedną podeptać, boć i lew, zwierzę silne, oszczędza słabszego i nań się nigdy nie rzuca, wreszcie honor jego nie pozwalał łamać przysięgi na wierność i posłuszeństwo monarsze malutkiego królestwa...

Siłą pięści i ciężkich stóp, walczyć nie chciał Guliwer.., Cóż więc pocznie?

Nie pozostaje mu nic innego, jak uciekać na wyspę Blefusku.

Natychmiast rano zawiadomił lilipuciego króla, że zaproszony niegdyś na wyspę, wyrusza na wizytę do tamtejszego narodu i że prosi o pozwolenie na tę wyprawę.

Wysławszy służącego do dworu, nie czekał już na odpowiedź, która mogłaby być nieprzychylna i złapawszy się jednego ze stojących okrętów, przepłynął na drugą stronę kanału.

ROZDZIAŁ VII.

Przybycie na wyspę Blefusku. Domaganie się króla Liliputów o wydanie Guliwera. Szlachetność monarchy wyspy Blefusku i opór.

Guliwer powitany był bardzo uprzejmie na wyspie.

Naród wydawał na jego cześć okrzyki, a sam król przyszedł do niego w odwiedzin.

Guliwer ucałował dłoń króla, królowej i księżniczek i spokojnie, bez obawy utraty życia, lub wzroku, siedział u dobrego i walecznego narodu.

Nie mówił nic królowi o powodzie przybycia, obawiał się odesłania go z powrotem,

aby z tego powodu nie wybuchła wojna z Liliputami.

Tymczasem pewnego rana, spoglądając w dal, Guliwer spostrzegł ogromną łódź, widocznie niegdyś przyczepioną do okrętu i wskutek zapewne burzy na morzu, oderwaną i rzuconą na łaskę wichrów morskich.

Guliwer uprosił monarchę wyspy Blefusku, aby mu pożyczył dwadzieścia największych okrętów, które mu jeszcze pozostały po utracie floty wojennej i dał mu trzy tysiące marynarzy i wice-admirała.

Gdy zgodził się na to, Guliwer szedł brzegiem wyspy, po tej stronie, na której widział ową łódź bujającą na falach i wskazywał marynarzom drogę.

Gdy ujrzał łódź kołyszącą się na morzu, wskoczył do wody i złapał za hak rzucony mu przez majtków.

Hak ten wraz z łańcuchem przymocował do otworu w łodzi i spoił z łańcuchem przy okręcie będącym.

Poczem zaczął płynąć i posuwać łódź ręką dotąd, aż przyciągnął do brzegu.

Morze właśnie miało swój zwykły odpływ. Guliwer więc wszedł na miejsce suche, wolne od fal morskich i przy pomocy



dwóch tysięcy małych ludzi, sznurów i maszyn, wciągnięto na ląd i przekonano się, że była jeszcze dobra i bardzo mało uszkodzona.

Dziesięć dni naprawiał Guliwer przy pomocy cieśli, ową łódź znalezioną, a tłumy niezliczone ludzi przyglądały się tej robocie.

Dziwił się bardzo Guliwer, że cesarz Liliputów nie wszczął żadnych poszukiwań z powodu jego wyjazdu.

Dowiedział się później, że władca ów sądził, iż Guliwer pojechał tylko na dni parę, poczem wróci do kraju.

Dłuższa jednak nieobecność Guliwera zaniepokoiła monarchę, i w dwa dni po wyruszeniu i przyciągnięciu łodzi na brzeg wyspy, przyszedł goniec z pismem do króla, przedstawiającem go w jaknajgorszym świetle.

Posel miał za zadanie przedstawić królowi Blefusku słodycz niewymowną i łagodność swego monarchy, który karę śmierci, należną Guliwerowi jako zdrajcy, zamienić kazał na oślepienie.

Monarcha Liliputów groził w swem piśmie, że o ile Guliwer nie wróci do jego kraju w przeciągu dwóch dni, będzie ogłoszony

publicznie za zdrajcę stanu i przywieziony przemocą na ukaranie śmiercią.

Dodawał przytem, że ma w sercu nadzieję, iż szlachetny król wyspy Blefusku, odeśle Guliwera z kajdanami na rękach i nogach, jako złoczyńcę niebezpiecznego.

Guliwer opowiedział całą historję, wskutek której wpadł w niełaskę i prosił o pozwolenie jaknajszybszego odjazdu do rodziny.

Pozwolono mu to zrobić jaknajprędzej, a król Liliputów otrzymał zawiadomienie, że olbrzym, ku wielkiej radości wszystkich, odjeżdża do ojczyzny, znalazłszy wypadkiem łódź do jego wielkości odpowiednią.

Nie będzie już ciężarem ani dla Liliputów, ani dla wyspy Blefusku.

Po tej odpowiedzi, nie wysyłano już posłów po Guliwera i pozwolono mu odjechać.

Guliwer zabrał się wtedy szybko do wykończenia reperacji przy łodzi.

Chciał odjechać stąd jaknajprędzej, nie ulegając namowom monarchy, który niby go zapraszał do pozostania na wyspie, a jednocześnie cieszył się w głębi ducha, że pozbędzie się olbrzymia i błogosławił łódź, która go miała zabrać do jego ojczyzny.

Pięciuset robotników zabrało się do roboty żagla, Guliwer robił sznury i haki.

Ogromny kamień, znaleziony przez Guliwera nad brzegiem morza, posłużył za kotwicę, cieśle zaś dopomogli mu do zrobienia wiosel i masztów.

Robota była nadzwyczaj uciążliwa z powodu braku rąk odpowiednich do pracy.

Guliwer musiał sam zrąbywać ogromne drzewa, sam pilować i ciosać, sam dźwigać niezmierne ciężary.

Ludzie ci malutcy, jak mrowie ruszali się i niby coś, niecoś pomagali, ale największy ciężar pracy, dźwigał na sobie Guliwer.

Gdy łódź była gotowa, Guliwer oznajmił królowi, że może już jechać.

Na pożegnanie wyszedł król z całą swiatą nad brzeg morza, aby ujrzeć odjazd olbrzymia.

Guliwer musiał się położyć na ziemię, aby módz ucałować rękę króla, królowej i ich dzieci.

Król pożegnał go bardzo mile i dał mu pięćdziesiąt woreczków, z dwustu monetami każdy.

Woreczki miały na sobie wyszyty portret króla.

Guliwer zabrał ze sobą dużo wołów, krów, owiec i powsadzał to do kieszeni, aby zawieźć z sobą do kraju, chciał wziąć paru Liliputów, ale ~~król~~ temu się oparł i kazał mu przed ~~odjazdem~~ zrewidować kieszenie.

Puścił się więc Guliwer sam, ze swoją trzódką i zapasami żywności, które mu przyrzadzali kucharze w liczbie paru tysięcy, nie brakowało mu niczego, były tam pieczone gęsi, wielkości małego wróbelka, różne mięsiwa i napoje. Jabłuszka wielkości jarzębinowej jagody włożono ~~do~~ miał do woreczka ku orzeźwieniu, a cukierki, takiej, jak ziarnko prosa wielkości, miały mu osładzać gorycz odjazdu od tak miłego monarchy.

Wyjechawszy z wyspy, pędzony był przez wiatr z ogromną siłą, ale dokąd, trudno mu było zmiarkować. Nie był pewny, czy jedzie w strony, do których dążył, ale pędził aby być jak najdalej od narodu, któremu był ciężarem i który czyhał na jego życie, aby się go pozbyć dla wielkich na niego wydatków.

Naraz spostrzegł okręt! O, jakże się ucieszył! Odwiozą go do rodzinnego kraju, opowie im swe dziwne przygody i zobaczy sobie podobnych ludzi.

Wszystko co przeszedł wydawało mu się snem tylko i gdyby nie pełne kieszenie zwierząt domowych i woreczki z ofiarowaną monetą — sądziłby, że to, co go spotkało przez ciąg dziewięciu miesięcy, było gorączkowem marzeniem, lub zwykłym snem w podróży.

Okręt, jadący naprzeciw Guliwera, należał do angielskiego kupca, jadącego z Japonji.

Przyjęto Guliwera, zarzucano pytaniami, a gdy powiedział, co go spotkało i w jakim był kraju, roześmiano się, sądząc, że to obłąkanie.

Wtedy Guliwer wyjął z kieszeni trzódkę mu ofiarowaną przez mieszkańców Blefusu i pokazał monety tego kraju.

Uwierzono natychmiast i z podziwem już, bez żadnej wątpliwości słuchano opowiadań.

Przybywszy w r. 1702 do ojczyzny, zastał Guliwer żonę swą i córkę przy zdrowiu, cieszą się z jego powrotu, z podziwem oglądano trzódkę przywiezioną i sądząc że po tych dziwnych przygodach Guliwerowi na czas dłuższy odechce się awanturniczych podróży.

Ale Guliwer pozostawał ze swą rodziną tylko dwa miesiące. Owładnęła nim znowu gorączka podróży i powstrzymać się nie mógł od nowej, również w dziwne przygody obfitującej wyprawy.

Zostawiwszy na utrzymanie rodziny po-
kążną sumę pieniędzy, aby nie uczuła niedo-
statku w czasie jego nieobecności, Guliwer
zabrawszy trochę towarów do zbycia, pie-
niądze i zapasy i żywność, wsiadł wśród
łez i pożegnań najbliższych do okrętu: „Awan-
tura“, kierowanego przez kapitana Nikolo
z Liwerpułu.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I.

**Podróż do Brobdinak. Guliwer na morzu.
Straszliwa burza. Ucieczka przed olbrzymem.
Pochwycenie Guliwera przez olbrzyma.**

Guliwer wsiadłszy do okrętu zamyslał jechać z kapitanem w zupełnie inną stronę, ale wiatry silne gnały ich całą mocą i przypędziły do Przylądka Dobrej Nadziei.

Tutaj kapitan zmożony przez silną febrę, nie mógł dalej jechać, oczekując na wyzdrowienie.

Po dwudziestu dniach dopiero wyruszył okręt z podróżnymi.

Z początku podróż była wspaniała, pogoda prześliczna, zdawało się, że do końca służyć im będzie szczęście.

Alc naraz zerwał się wichur, rzucił okrętem na wszystkie strony, wreszcie zmusił kapitana do odcięcia łodzi ratunkowej i ratowania się w niej do końca.

Miotani wichrem ujrzeni naraz przed sobą jakąś dużą wyspę.

Ucieszyli się bardzo, myśląc, że zamieszkuja tam ludzie i że znajdą tam dosyć słodkiej wody, aby zaspokoić pragnienie i nabrać na zapas.

Jedzenia bowiem mieli dużo, zabrakło im tylko wody do picia, a pragnienie dokuczało im ogromnie.

Guliwer, zawsze od innych ciekawszy, wyszedł sam, zostawiając poza sobą gromadkę towarzyszy.

Szedł i szedł ciągle i niczego prócz nagich skał i ogromnej przestrzeni nie widział.

Naraz okrzyk straszliwy, z kilkunastu piersi wychodzący rozległ się w tej złowrogiej pustce.

Guliwer zrozumiał, że to jego współtowarzysze wołają o ratunek, odwrócił się i cóż zobaczył? Oto człowiek niezmierniej wielkości, gonil ich łódź, do której wsiadano z pośpiechem i chciał ją porwać.

Nieszczęśliwi podróżni całą siłą wiosłując, uciekali czempredzej od olbrzyma, który chodził sobie po morzu, jakby po gruncie i ogromnemi krokami pędził ku uciekającym.

Guliwer oniemiał z przerażenia... Ach! więc to kraj olbrzymów, więc wpada z jednej ostateczności w drugą, — od kraju Liliputów, ludzi których zgnieść mógł jedną stopą, przeszedł do krainy wielkoludów, do ziemi, w której on sam będzie się wydawał Liliputem...

Wyteżył wzrok ku morzu i naraz z radością zauważył, że łódź mknąc szybko, uciekła od olbrzyma, który machnąwszy olbrzymią dłonią, zawrócił ku brzegowi z powrotem.

Biedny Guliwer, spragniony i głodny puścił się prostą drogą przed siebie, rozmyślając nad swą okrutną dolą.

Żałował mocno, że dał się unieść chęćce podróżywania, że rzucił swą rodzinę i ojczyznę, aby zginąć u wielkoludów.

A toć taki olbrzym połknąć go może, o ileby zechciał!

Ale znów myśl ta, że przecież on, mając w swem ręku Liliputów i mogąc zrobić,

co mu się podobało, nie uczynił im żadnej krzywdy i odszedł nie mszcząc się za ich niewdzięczność — pocieszyła go i kazała mu ufać we wspaniałomyślność olbrzymów, o ile naturalnie wpadnie w ich ręce.

Tymczasem postanowił ratować się ucieczką.

Biegł więc, sądząc, że natrafi na jakieś miejsce zarosłe trawą, źródelkiem, które go swą wodą napoi, a może i z drzewem obciążonem owocami...

Próżna nadzieja! Wciąż jednakowa pustka i wciąż skały olbrzymie...

Naraz zdala zaszumiały ku niemu znane z ojczyzny wiewy, zapachniały trawy zbóż i ujrzał przed sobą pole usłane zbożem i kłosa złotem lśniące i różnobarwne w pośród nich kwiecie.

Ale kłosa te były niezmiernej wielkości, jeden kłos tego zboża starczyłby na bochenek chleba po omlóceniu...

Guliwer wszedł na ścieżkę między polami i cichutko wsunął się do gęstwiny.

Doleciały do niego grube jakieś i nieprzyjemne odgłosy, posłyszał za sobą tupot nóg, a obejrawszy się poza siebie, ujrzał z prze-

rażeniem kilka olbrzymek i olbrzymów, ścinających sierpem zboże...

Co robić? Lada chwila zetną mu głowę, jeśli stąd nie ucieknie.

Zaczął więc chyłkiem cofać się ku innym falom zboża, ale cóż, kiedy, gdy on się cofał, oni dużemi krokami przebiegając pole, wciąż się ku niemu zbliżali...

Jeden z żeńców oddalony od Guliwera o jakieś pięć kroków, przystanął, aby zamachnąć się sierpem i ścinać kłosa.

Chwila jedna, a byłby jak makówka ścięty wraz z kłosami, które długą smugą kładły się już po ziemi...

A gdyby nie to, to mógł być zdeptany jak mały robaczek, niewidzialny dla tak olbrzymiej figury.

Guliwer zaczął wtedy krzyczeć, ile mu sił starczyło, aż ochrypl od wysiłku...

Zdawało mu się, że krzyk jego był bardzo silny, przebijający niebiosy...

Był silny, ale nie dla olbrzyma. Posłyszał wprawdzie pisk jakiś, jakby małego zwierzątka, ale głos ten był tak cichy, że nie zrozumiał nawet skąd pochodzi.

Obejrzał się wokoło, raz i drugi, wreszcie u stóp swych zobaczył stworzenie małe,

przykucnięte do ziemi i piszczące z wielkim wysiłkiem.

Złapał więc Guliwera za oba uszy i podniósłszy do góry, przyglądał się z wielkiem zaciekawieniem.

Znalazłszy się w tak niewygodnej pozycji, Guliwer złożył błagalnie ręce, wzrok podniósł ku niebu i rzewnymi słowami zaczął prosić o nie robienie mu krzywdy. Przede wszystkim, wskazywał na uszy, które olbrzym, bojąc się, aby nie zleciało znalezione stworzonko na ziemię, trzymał i ścisnął mocno.

Olbrzym zrozumiał, że Guliwer cierpi wskutek takiego trzymania w rękach, delikatnie więc wziął poły swego surduta i położył go na nich, poczem zaniósł na pole do swego pana, jak się okazało, właściciela tego pola.

Rolnik wziął do ręki słomę od zboża, wielkości i grubości naszej laski i podniósł połę surduta, pod którą się Guliwer ukrywał.

Poczem dmuchnął mu w głowę, aby mózdz spojrzeć dobrze w twarz i zwołał żeńców, aby zechcieli się przyjrzeć tak dziwnemu zwierzęciu, zapytując, czy widzieli coś podobnego w swem życiu.

Postawiono go potem delikatnie na ziemię na obie ręce i nogi, ale Guliwer wskoczył czemprowadzej i zaczął spacerować z kapeluszem w rękę tam i z powrotem, dla pokazania, że nie ma zamiaru uciekać.

Olbrzymi i olbrzymki patrzyły z podziwem na Guliwera, podczas gdy ten ostatni, zdjawszy kapelusz, uklonił się wszystkim z szacunkiem i podał całą kwotę, jaką posiadał właścicielowi pola.

Rolnik wziął do ręki woreczek z pieniędzmi, oglądał zawartość i zwrócił Guliwerowi, pokazując mu, żeby schował do kieszeni.

Olbrzym widząc ruchy szlachetne Guliwera, jego ukłony i grzeczność, zrozumiał, że ma do czynienia ze stworzeniem inteligentnem, przemawiał do Guliwera często tonem bardzo miłym, głaskał po głowie i wogóle okazywał mu życzliwość.

Odesłał przywołanych poprzednio ludzi do roboty, wyjął chustkę ze swej olbrzymiej kieszeni i złożyłwszy ją we czworo ułożył na niej Guliwera jak na prześcieradle.

Wyciągnął się nasz podróżnik w całej długości na owej chustce, która służyłby

nam mogła za prześcieradło i w ten sposób zanieiony został do domu rolnika.

Krzyk przestrachu, jaki wydała żona jego obecnego pana był tak okropny, że ogłuszył Guliwera na parę godzin.

Wkrótce jednak dobra ta kobieta przyrzawszy się jego obejściu się i grzeczności względem jej męża i jej samej, pokochała Guliwera serdecznie.

Przybycie Guliwera poprzedziło zaledwie o kilka minut obiad.

Zasłano stół ogromnym obrusem, postawiono talerze i zabrano się do jedzenia.

Dla Guliwera ukrajano kawał mięsa i porcję dużą chleba i położono na drewnianym talerzu.

Guliwer, wziął do ręki kapelusz i wymachując nim, dziękował, kłaniając się aż do ziemi.

Po zjedzeniu dostał duży kielich wina, który pił za zdrowie pana i pani domu, przemawiając do nich po angielsku, co wprawiło ich w zachwyt i wywołało śmiech ogólny i okrzyki.

Olbrzym był zachwycony Guliwerem, trzymał go wciąż na ręku, pieścił, karmił

i wszelkimi sposobami okazywał mu swą życzliwość.

Żona jego również lubiła Guliwera i nigdy mu nie wyrządzała krzywdy.

Jeden tylko z ich synów, chłopiec co najwyżej dziesięcioletni, złośliwością swą przyczynił mu nieraz bólu.

Podczas obiadu, gdy olbrzym zawołał do siebie Guliwera, ten ostatni, biegnąc szybko, schwytany został za nogi przez złośnika i trzęsiony w powietrzu.

Ale kara spotkała niedobrego olbrzymiaka bardzo surowa.

Olbrzym wydarł mu z rąk trzepoczącego się jak kura, Guliwera i wymierzył synowi ciężki policzek.

Nie dość tego, kazał mu się wynosić z pokoju.

Guliwer z ruchów olbrzymia wyrozumiał, że chłopak ma być wyrzucony od stołu, a bojąc się zemsty ze strony niegodziwca, postanowił go bronić.

Rzucił się więc na kolana przed olbrzymem, ruchami błagalnymi wyrażał prośbę o przebaczenie, aż zrozumiany, otrzymał o co prosił.

Chłopiec usiadł znowu przy stole i od tej pory nie dokuczał nigdy Guliwerowi.

Pod koniec obiadu zjawił się kot czarny, wielkości, najmniej trzech zwykłych wółw. Wskoczył on na ramiona olbrzymki, miaucząc i wywijając ogonem.

Guliwer wiedział o tem, że o ile zwierzę chociażby najdrapieżniejsze widzi, że się go nie boją, nie poruszy i nie uczyni nikomu krzywdy. Biada zaś temu, kto drży i ucieka, ten napewno będzie rozszarpanym.

Spacerował więc przed kotem, udając zucha, a gdy się bardzo ku niemu zbliżał, widział przestach w błyszczących oczach kota i jakby cofanie się.

Zjawiły się i ogromne psy wielkości czterech słoni, ale te nie skakały, nie rzucały się na ramiona, tylko rozłożyły się na podłodze, zając co im rzucono.

Po obiedzie niańka przyniosła roczne dziecko olbrzymów, które zobaczywszy Guliwera zaczęło krzyczeć na cały głos, aby dać tę zabawkę.

Olbrzymiątko było pewne, że to lalka i że powinna być w jego rękach.

Dano dzieciakowi Guliwera, który o mało że nie postradał życia.

Dziecko bowiem, jakto jest zwyczajem dzieci włożyło głowę Guliwera do ust i o mało nie odgryzło mu głowy.

Szczęściem Guliwer tak strasznie zaczął krzyczeć i tak okropne wydawać jęki, że dzieciak z przestachu upuścił go na podłogę.

Zabiłby się nieborak, gdyby nie olbrzymka, która nadstawwszy swój fartuch złapała weń Guliwera.

Rozkrzyczany olbrzymiak uspokoił się po tym wypadku, dopiero po nakarmieniu przez matkę.

Olbrzym, wstając od stołu polecał Guliwera opiece swej żony, a ta, widząc go bardzo sennym i bardzo znużonym, ułożyła na pościeli, nakrywając ogromnem, mogącem służyć za żagiel prześcieradłem.

Guliwer spał smacznie, śniąc o swej żonie i dzieciach i spałby jeszcze dłużej, gdyby nie zajście ze szczurami.

Oto dwa ogromne szczury, wielkości cielęcia, wdrapały się po firance do łóżka i chciały sobie zrobić ucztę z Guliwera.

Na szczęście spostrzegł w porę i obudzony szelestem ujrzawszy obrzydłe stworzenia, rzucił się na nie z pałaszem a roz-

pruwszy jedno wprawnem cięciem, zmusił drugie straszycło do ucieczki.

Coby to było, gdyby Guliwer nie miał przy sobie pałasza? Pożarłyby go szczury napewno.

Po jakimś czasie przyszła do niego olbrzymka, a ujrawszy krew na ubraniu Guliwera przeraziła się tem bardzo.

Guliwer uspokoił ją, ukazując zabitego szczura i wyszedł z nią razem z sypialni.

Olbrzymka z przejęciem opowiadała wszystkim o przygodzie, która o małego nie pozbawiła Guliwera życia.

ROZDZIAŁ II.

Piastunka Guliwera. Przedstawienia w miasteczkach.

Olbrzymi mieli młodziutką dziewięcioletnią córkę, która polubiła bardzo Guliwera i w dowód sympatji ofiarowała mu kołyskę swej lalki.

Guliwer sypiał w wygodnej pościeli z czyściutką białizną i sam, dzięki roztropności i pracowitości tej młodziutkiej istoty zawsze był ładnie ubrany.

Uszyła mu sześć koszul, tyleż par kołnierzyków i mankietów, parę ubrań od święta i codziennych, przytem opiekowała się nim jak najlepsza siostra, dając mu najsmaczniejsze kęski i chroniąc od zimna i zmrożenia.

Milutkie to dziewczątko nazywało Guliwera Grildridem, a siebie kazało nazywać Glumdalklicz, co znaczyło w języku olbrzymów mała niania.

Ona wyuczyła Guliwera mowy dla olbrzymów zrozumiałej i ona to otrzymała zapewnienie, że Guliwer będzie jej własnością na zawsze.

Rozgłos sławy Guliwera rozszedł się bardzo daleko.

Mówiono wszędzie o jego zręczności, ukłonach, posługiwaniu się pałaszem i różnych nadzwyczajnych zdolnościach.

Wieść o znalezieniu w zbożu u olbrzymów zwierzątka, sprowadziła jednego z ich przyjaciół, który z zaciekawieniem przyglądał się Guliwerowi, kłaniającemu się i spacerującemu na stole.

Mając wzrok bardzo krótki, ów gość założył na nos binokle i obserwował Guliwera.

Guliwer nie mógł się powstrzymać od śmiechu, który wywołał też oznaki radości u rodziny olbrzymów.

Śmieli się wszyscy: olbrzym, olbrzymka, dzieci ich i służba. Nawet małe olbrzymiętko pokładało się, nie wiedząc z czego od śmiechu.

Obraziło to gościa, który niezadowolenie swe wyraził w sposób niegrzeczny, wkońcu poradził olbrzymowi, aby pokazywał Guliwera za pieniądze.

Bolesnem to było poniżeniem dla Guliwera, ale cóż począć?

Jak obroni się od tego, będąc tak maleńkim w porównaniu z olbrzymami?

Nazajutrz rano opiekunka Guliwera opowiadała mu o swem nieszczęściu.

Zabiorą go, wywiozą w odległe o kilkadziesiąt mil kraje i pokazywać będą za pieniądze...

A obiecywał jej ojciec, że nigdy nikomu nie odda i nigdy nie wywiezie go z domu. Mówił, że to jej własność.

Opowiadała Guliwerowi z płaczem, jak to zeszłego roku miała śliczne białe jagniętko, jakto ojciec również mówił, że ni-

komu nie odda, a tymczasem, gdy dorosło, sprzedał rzeźnikowi.

Trapiło ją najbardziej to, że Guliwer był mały i wąły. Zameczą go więc wożeniem i pokazywaniem ludziom, a brutalne ręce nieraz dotkną delikatnego Guliwera i ból mu sprawiać mogą.

Ale Guliwer prędko pogodził się z losem.

Nadzieja wyjazdu od olbrzymów i uwolnienia się może od nich ucieszyła jego żal i kazała mu myśleć, że może właśnie teraz, przez ten wyjazd zdarzy się okazja ucieczki z niewoli i powrotu do ukochanej ojczyzny i rodziny.

Nadeszła chwila wyjazdu. Olbrzymka ucałowała Guliwera na pożegnanie, dzieci również, jego zaś młodziutka piastunka miała jechać razem i opiekować się nim nadal.

Guliwer jechał bardzo długo w swej skrzynce.

Podróż była straszliwie męcząca. Ogromne rumaki unosiły powóz do góry, podrzucając wciąż skrynkę i wstrząsając silnie Guliwerem.

Gdy przybyli do większego miasteczka, gdzie mieli zamiar zatrzymać się dla po-

kazu, Guliwer był tak strasznie znużony, że z sił prawie opadł.

A tu zaraz po przybyciu, zaniesiono go do oberży, gdzie setki ludzi oczekiwały na widowisko.

Ustawiono ogromny stół, otoczono ogrodzeniem, żeby nikt zbyt nie pchał się i nie dotykał rękami Guliwera i rozpoczęto przedstawienie.

Córka olbrzyma, stojąc przy stole wołała do Guliwera co ma robić i czem widzów zabawiać.

A więc: tańczył, skakał, wywijał szabelką, kłaniał się na wszystkie strony i spacerował z powagą.

Wszystkie jego czynności wywoływały wybuchy śmiechu, które brzmiały jak najsilniejsze grzmoty.

Guliwer nie tylko wzbudzał podziw swemi ruchami.

Rozmawiał językiem olbrzymów, śpiewał i śmiał się do widzów!

Gdyby nie odgrodenie go od widzów, byłby zaduszony od brania w ręce i od braku powietrza.

Dopiero w połowie przedstawienia zabroniono więcej nad trzydziestu osobom

wchodzenia do izby. Wtedy oczyściło się trochę powietrze i Guliwer lżej zaczął oddychać.

Przedstawienie w oberży trwało przez ośm godzin bez przerwy; niedość tego, gdy olbrzym zabrał go do domu, zebrał się tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, aby przyjrzeć się niezwykłemu i nieznanemu dotąd stworzeniu.

I tutaj Guliwer, choć niezdolny prawie do chodu, musiał przedstawiać ruchy swe i przemawiać.

Guliwer nie sam tylko cierpiał. Cierpiała z nim razem i oplakiwała jego dolę dobra córka olbrzyma.

Czem mogła osładzała mu życie. To podała mu owoc dla orzeźwienia, to wpuściła powietrze przez uchylenie drzwi lub okien, to wyrazami współczucia umilała mu smutne życie.

Gdyby nie ona, kto wie, czy Guliwer przeżyłby tę podróż okropną i to umęczenie!

Z oberży wyruszył olbrzym do stolicy. Przejeżdżając przez miasteczka, wszędzie dawał przedstawienie i nigdy nie brakło widzów.

Nie zważał na to, że Guliwer szczupłał, żółkł i z sił już opadał...

Co mu do tego! Aby zdobyć dużo, dużo pieniędzy i zawieźć je do rodziny...

Guliwer był dla niego zwierzątkiem oswojonem, które służyć miało do wzbogacenia olbrzyma, a poza tem, niczem więcej!..

Po przybyciu do stolicy, zwanej w języku olbrzymów „Cudem świata“, ponaklejano afisze, głoszące o przedstawieniach, na których ma wystąpić słynny skoczek i tancerz, mały nad małymi, wytresowany świetnie aktor.

Umieścił się ów olbrzym przedsiębiorca w pobliżu pałacu królewskiego i postanowił dawać codziennie po dziesięć przedstawień,

A tymczasem biedny Guliwer chudł i wiądlł coraz bardziej. Opuszczały go siły i apetyt i lada dzień mógł zakończyć swe życie.

Zauważył to olbrzym i zatrwożył się.

Ale zamiast dać Guliwerowi wypoczynek i tem mu przywrócić zdrowie, postanowił do końca wyzyskiwać.

— Niech umiera! — myślał — Aby jeszcze coś utargować i więcej zdobyć pieniędzy!

A Guliwer nietylko wiądl i zamierał z powodu umęczenia fizycznego. Wszak, jak wiemy, był to człowiek normalny, nie jakiś karzelek, za którego miano go u olbrzymów.

A więc, jako człowiek, do tego dobrze wychowany i wykształcony, miał ambicję, poczucie swej godności i wstyd mu było pokazywać się za pieniądze.

Każdy ruch wyciągnięcia ku niemu ręki, każde odezwanie się wzgardliwe widzów wywoływały w nim ból serca i o mało nie łez...

Powstrzymywał się jednak od płaczu, bo i cóż z tego? Byłoby to nowe przedstawienie dla widzów i nowy śmiech, a dla niego, nieszczęśliwego karzelka nowy ból...

Tłumiąc w sobie i łzy i żal i zniechęcenie do ludzi Guliwer zeszczuplał okropnie i stał się prawie przezroczystym.

Po całodziennej męce rzucał się na łóżko, ale sen nie zamykał mu oczu.

Przed zmęczoną jego żrenicą przebiegały z błyskawiczną szybkością dnia całego wypadki.

Jeden z nich szczególnie wrył mu się w pamięć i co noc stawał przed nim.

Było tak: Mały, nikły olbrzymek, naturalnie: mały, tylko w pojęciu wielkoludów, stał przed kratą widowiskową i przyglądał się Guliwerowi.

Gęste jego, rozczochrane włosy spadały mu aż na czoło, a duże wyraziste oczy za ledwie były z pod tej gęstwiny widoczne...

Guliwer widział zainteresowanie się wielkie u olbrzymiątka, ale nie znał głębi serca tego niedorosłego stworzenia i niczego się nie obawiał...

Dziwiły go tylko drapieżne jakieś ruchy, zaciskanie pięści i wysuwanie ku Guliwerowi jakby szponów ku rozszarpaniu.

— Ot — myślał sobie — bawi się olbrzymek w myśli, w jakąś wojnę!..

Gdy naraz na prośbę małego widza sprowadzono właściciela Guliwera i rozpoczęto targi. Olbrzymek chciał nabyć karzełka... Ale na co? Czyżby na przedstawienia?

Targował się niezbyt długo. Dużo, dużo złota powyciągał z kieszeni, a gdy i tego było za mało, zdjął kosztowny pierścień z małego palca i podał olbrzymowi.

Olbrzym obejrzał ze wszystkich stron, opukał, czy z czystego kruszcu, wreszcie

uśmiechnął się i miał już oddać swego aktora w ręce nowonabywcy.

Gdy tymczasem stała się rzecz niespodziewana.

Towarzysz olbrzymka, zanim właściciel dotychczasowy dobił targu, podbiegł do niego i w gwałtownych słowach, przy towarzyszeniu ruchów odpowiednich, zaczął protestować sprzedaży.

Guliwer ogromnie był zaciekawiony, coby to było, zbliżył się więc do kraty i cóż usłyszał?..

Niestety! nowy dowód nikczemności ludzkiej, nowa oznaka, że niegodni nosić miana ludzi, ci, którzy mając człowieczą postać, kamienne serce w piersi noszą!

O, jakżeż mocno znienawidził teraz Guliwer kraj, w którym były takie potwory: i jak pragnął wydostać się stąd jaknajprędzej!..

Towarzysz niedoszłego kupca dowodził, że ów, płacący złotem i pierścieniem z palca zdjętym, chciał go kupić na to, żeby móżdż Guliwera poddać różnym męczarniom. Chciał bowiem wiedzieć, jak będzie śmierć powolną znosić...

A może nie zważać na to, co zrobi nabywca z Guliwerem i oddać mu ten kłopot?..

Bo Guliwer może zamrzeć lada tydzień a wtedy złoto przepadnie!

Ale piastunka Guliwera rzuciła się nóg olbrzymowi i płakać i lamentować częła.

Olbrzym machnął ręką, zrozumiał będzie miał wciąż płaczącą w domu córkę, o ile nie wysłucha jej błagań, oddał z i pierścień i kazał znów rozpoczynać widowisko.

Miał nadzieję, że zarobi jeszcze od złoto z przedstawień.

Guliwer pożyje jeszcze...

ROZDZIAŁ III.

Przedstawienie na dworze królewskim. Sprzedanie Guliwera królowej. Wypadek z n

Razu pewnego, gdy olbrzym roznad nad tem, jakby tu ściągnąć najwięcej publiczności na nowe dziesięć przedstawień, które miał urządzić, zjawił się dwor królewski i oznajmił, że król i królowa

Podróże Guliwera.

czą sobie widzieć Guliwera we dworze. Damy dworskie widziały już Guliwera i naopowiadawszy o nim wzbudziły ciekawość w królu i królowej, która kazała natychmiast sprowadzić to cudowne stworzenie małe jak zwierzątko a inteligentne jak człowiek.

Przyniesiono Guliwera do pałacu, postawiono na stole i rozpoczęło się przedstawienie.

Guliwer prosił o pozwolenie ucałowania ręki królewskiej, poczem ukląkł przed królową i dużo powiedział grzeczności, które ogromnie zdziwiły obecnych.

Ten mały twór, zdawałoby się, że nie mogący mieć rozumu w tak nikłej małej główce, odzywał się językiem ludzi wykształconych i ruchy jego znamianowały lepszą sferę.

Zapytywała go królowa o ojczyznę jego, o rodzinę, skąd wziął się w ich kraju i w jaki sposób stał się niewolnikiem olbrzyma?

Guliwer odpowiadał na wszystko z godnością, a gdy go zapytała, czy chciałby pozostać na dworze królewskim, z radością

objawił swą wielką chęć obcowania z tak dobranem i szlachetnem towarzystwem.

Zawołano olbrzyma i przedstawiono mu chęć kupienia Guliwera na własność.

Olbrzym, sądząc z wyglądu swego niewolnika, że nie długo już może pożyć, z radości zgodził się na sprzedaż.

Grzymawszy tysiąc sztuk złota, odjechał uszczęśliwiony, pozostawiając na dworze królewskim nie tylko Guliwera, ale i jego piastunkę, o co prosił Guliwer królowej.

Przeżegnał przedtem swego niewolnika zapewnieniem, że pozostawia go w dobrem miejscu, na co ten odpowiedział mu chłodnem kiwnięciem głowy.

Rozumiał dobrze Guliwer, że pozbył go się tak łatwo tylko dlatego, że zdawało mu się, że lada dzień straciłby źródło swego zarobku, gdyż Guliwer stawał się, wskutek nadmiernej pracy, coraz to bledszym i szczuplejszym.

Królowa zajęła się przy pomocy córki olbrzyma, przywróceniem do zdrowia biednego Guliwera.

A więc przedewszystkiem położono go do łóżka, aby wypoczął i posilano najsmaczniejszymi potrawami.

Guliwer powoli zaczął się poprawiać, na zdrowiu i wkrótce powrócił do dawnego stanu.

Zapoznanie się Guliwera z królem, było bardzo zabawne.

Gdy przyniesiono go do króla, sądził, że ma przed sobą małe zwierzątko, zwane przez olbrzymów „splaknok“, gdy zaś posadzono Guliwera na podstawce kałamarza i Guliwer oznajmił mu kim jest i z jakiego kraju, król uznał go za maszynę, której struny środkowe pozwalają mówić, śmiać się i płakać.

Miał wrażenie, że Guliwer może być zegarem, który za nakręceniem wydaje dźwięki.

Za wszystko uznawał, tylko nie za człowieka!

Ale Guliwer, wraz ze swą nieodstępną piastunką, która wsunęła się za nim do królewskiej komnaty, zdołał wreszcie przekonać króla, że ani maszyną, ani nakręconym zegarem nie był i nie jest.

Król zdziwiony i oczarowany mądrością małego stworzonka, kazał sprowadzić trzech uczonych, aby rozpoznali kim jest właściwie to znalezione przez olbrzyma stwo-

rzenie: człowiekiem, zwierzęciem, czy też sztuczną maszyną?..

Jeden z uczonych dowodził, że Guliwer jest tworem niewykończonym, że nie jest ani człowiekiem, ani zwierzęciem, gdyż na człowieka za mały, a na zwierzęcia niezdolny, bo nie może kopać nory i w niej zamieszkiwać.

Drugi powiedział, że Guliwer jest embrjonem, to jest zaczątkiem człowieka, co obalono natychmiast, dowodząc, że jest już nie nowo urodzony, lecz mający lat conajmniej kilkanaście.

Za karła nie uznano Guliwera, gdyż karzeł na dworze, wprawdzie był najmniejszym z olbrzymów, ale wysokości przewyższającej stokrotnie Guliwera.

— Jest zwierzęciem mięsożernem! — zawyrokowali uczeni.

Po tych wywodach zabrał głos nasz Guliwer.

Mówił dużo i długo o swym kraju rodzinnym, o zwyczajach i ludności przeszło paromiljonowej, o budynkach i naukach tam kwitnących.

Nie uwierzono mu, zawołano olbrzymą, który go przywiózł, zapytując, czy to on wy-

uczył tak składnie opowieści o krainie zamieszkałej przez tak małe istoty i czy można wierzyć temu, co mówi do niedawna jeszcze jego niewolnik.

Rolnik-olbrzym zaprzeczył, jakoby to on Guliwera wyuczył podobnych historii i król musiał uznać Guliwera za człowieka należącego do sfery inteligentnej i jako takiego chronić jako rzecz ciekawą i do zbadań nadającą się.

Król bowiem był uczonym filozofem, badaczem zjawisk przyrodniczych i jako taki, zainteresował się ogromnie Guliwerem.

Kazano zrobić bardzo duże pudelko dla Guliwera, porobić w niem okienka, poustawiać wspaniałe meble i stoły, zakupić tkanin jedwabnych na ubranie.

Sama królowa polubiła ogromnie Guliwera i bez niego jadać nie chciała.

Usadawiano go zawsze koło niej, za nim zaś z tyłu stała nieodstępna piastunka.

Pewnego razu królowi zachciało się porozmawiać z Guliwerem.

Zbliżył go do siebie i począł rozpytywać o zwyczaje w ich kraju, religję, urządzenie państwa.

Guliwer opowiedział o wszystkim dokładnie, nie wiedząc jak niemile zakończy się dla niego ta rozmowa.

Król, wysłuchawszy cierpliwie, obrócił się ku swym ministrom i dworzanom i rzekł:

— Niestety! Niestety! jakżeż małe znaczenie ma wzrost człowieka, jeśli takie marne, brzydkie owady, jak ten tu obecny, mają też urządzenia państwowe, swą religję, zwyczaje...

Jeśli taksamo, jak my, mogą kochać, nienawidzić, żyć i umierać!

Takie to zdanie, przykre dla Guliwera wyszło z ust uczonego króla, najmądrzejszego z olbrzymów!

Niema róży bez kolców. Przysłowie to sprawdziło się na Guliwerze.

Było mu bardzo dobrze na dworze królewskim. Kochano go, dogadzano mu we wszystkim, miał swą komnatę, swe sprzęty, nie zamęczano go pokazywaniem sztuk, jak u poprzedniego pana — jednym słowem, było mu tu dobrze.

Ale miał tu i wroga. Jednym z nich był karzeł.

Stworzenie to nie lubiło Guliwera. Był mniejszym od niego ten niepotrzebny przy-

bysz, to wystarczało, aby go nie lubić i małego wzrostu zazdrościć.

Przytem widział przychylność króla i królowej dla tego malca, czuł się na drugim już miejscu, nie jak dawniej na pierwszym i złość go brała okrutna i chęć zemsty na Guliwerze nie pozwalała mu usnąć.

Nie mogąc zrobić mu krzywdy w większej rzeczy, bo obawiał się kary, postanowił dokuczać mu w małej chociażby okazji.

Razu więc pewnego, podczas śniadania, gdy Guliwer zajęty swemi myślami, nie zwracał na karła uwagi, porwał go wpół i wrzucił do salaterki z mlekiem. Poczem sam uciekł.

Guliwer, zanurzony po głowę, byłby się napewno utopił, gdyby nie nadbiegła z drugiego końca pokoju piastunka, która wyciągnęła go, zmieniła ubranie i położyła do łóżka.

Nie zachorował Guliwer po tej mlecznej kąpieli, chociaż opił się za dużo mleka, ale karzeł został za ten złośliwy postępek przykładnie wobec całego dworu oświadczony.

Królowa chcąc widzieć zawsze Guliwera wesółym, wpadła na myśl urządzenia mu morza i zbudowania małego, w jej pojęciu,



okręcika, którym mógłby nasz bohater kierować.

Zbudowano więc łódź z żaglem, napełniono balon szklany wodą i wsadzono Guliwera. Wodę zmieniano codziennie i wskutek tego, dwa razy, o mało co nie uległ niebezpiecznemu wypadkowi.

Raz, gdy wybierano wodę, aby nalać świeżą do balonu, kucharka pomagająca przy tem, wyjęła Guliwera z łodzi i trzymała go tak nieopatrzenie, że z ogromnej wysokości zaczął spadać na podłogę.

Zabilby się napewno, gdyby nie łebek od szpilki, którą zapięty miała fartuch. O ten to łebek zatrzymał się Guliwer, zawisnąwszy na fartuchu kucharki, córka zaś olbrzyma, nadbiegłszy na ratunek, odczepiła go i trzymała drżącego z przerażenia, dopóki nie napełniono balonu.

Drugim razem, człowiek zmieniający wodę, przez nieostrożność wpuścił ropuchę do balonu. Siedziała cicho, dopóki nie spostrzegła łodzi. Chcąc się na nią wgramolić, złapała łapkami brzeg łodzi, ta przechyliła się straszliwie i byłby się Guliwer utopił, gdyby nie jego pomysł wskoczenia na drugi brzeg łodzi i wypędzenia żaby uderzeniami wiosła.

Wszystkie te wypadki były małe w porównaniu z tym, który tu opiszemy.

Razu pewnego, piastunka Guliwera wyszła do kogoś z wizytą, zamknawszy go w pokoju samego.

Guliwer siedział smutny i zadumany w swym domku, którego drzwi i okna otworzył z powodu okropnego upału.

Naraz posłyszał szelest jakiś i bieganie po pokoju. Ktoś wskoczył przez lufcik i czegoś szukał.

Wyjrzał więc ostrożnie ze swego domku, nie poruszając się z miejsca. Była to ogromna małpa, wielkości dużego słonia.

Biegając tu i owdzie zatrzymała się przed domkiem Guliwera i zaczęła go ciekawie oglądać.

Naraz dostrzegła mieszkańca tego domku i zechciała go złapać.

Guliwer, zamiast schować się, zanim go spostrzegła pod łóżko, coby go napewno ocaliło, skrył się w kątku pokoju i z przerażeniem przytulił się do ściany.

Zwierzę wsunęło łapę, schwyciło za surdut i wyciągnęło Guliwera.

— Co zrobi ze mną? — myślał Guliwer — Czyżby chciała mnie pożreć?

Małpa nie myślała o pożarciu tej drobnej istotki, która jej wpadła w łapy.

Przytuliła do siebie w sposób, w jaki noszą niańki swe niemowlęta i huścić go poczęła w ramionach.

Guliwer chciał się wydrzeć z łap zwierzęcia, ale przycisnęła go tak mocno, że zrozumiał, iż chcąc ocalić życie, trzeba jej być posłusznym.

Małpie zdawał się Guliwer być małym małpiątkiem, bo niedość, że go tuliła z czułością, jeszcze drugą łapą głaskała go pieśczoćliwie po twarzy.

Uściski i czułości małpie trwałyby jeszcze długo, gdyby nie otwieranie drzwi z klucza.

Sprytna małpa zrozumiała, że ktoś wchodzi. Pędem rzuciła się do okna, z okna na dach stykający się z dachem pałacowym i usiadła z Guliwerem w objęciach, usiłując go zmusić do jedzenia przeróżnych nagromadzonych przez nią zapasów.

Krzyk okropny piastunki Guliwera która spostrzegła małpę na dachu, zgromadził tłumy dworzan.

Pobiegli po drabinę dworzanie i jeden z nich zaczął się już wdrapywać na dach.

Małpa widząc niebezpieczeństwo, upuściła Guliwera na jedną z dachówek, a sama umknęła czempredzej.

Zabrano Guliwera, zaniesiono do łóżka, gdzie przeleżał chory i z powodu przestachu i uścisków małpich i obrzydłego, wypychanego weń jedzenia, dni piętnaście.

Król i królowa dowiadawali się wciąż o jego zdrowiu, a gdy przyszedł na obiad po swem wyzdrowieniu, wypytywano go o wrażenia z małpiej wycieczki na dach i o smak i o gatunek wypchanego przez małpę mięsiwa.

Uśmiano się przytem należycie i ubawiono odpowiedziami Guliwera, który wciąż swemi niefortunnymi przygodami, dostarczał im powodów do śmiechu.

Dopomagała w donoszeniu o różnych śmiesznych wypadkach Guliwera, jego droga opiekunka, która, aczkolwiek kochała go bardzo, opowiadała królowej jego przygody, chcąc ją zabawić.

Guliwer chciał się o to pogniewać, ale była dlań tak troskliwą, tak dobrą, że nie umiał się gniewać.

— Niechtam! — myślał — Niech się zabawia!

ROZDZIAŁ IV.

Wyprawa nad morze. Porwanie przez orła. Ocalenie i powrót do ojczyzny.

Guliwer nie lubił podróżować. Wciąż wynajdywał roboty, albo też starał się swą wiedzą rozweselić króla i królowę.

Dwa razy w tygodniu Guliwer zwykł asystować goleniu króla.

Brzytwa, którą golono monarchę była wielkości dużej kosy, włosy króla były tak grube i ostre, że Guliwer postanowił je użyć na pewien cel.

Nie mając grzebienia, gdyż ten zepsuł się oddawna, zrobił z ostrych i grubych włosów króla wspaniałą grzebień do swych gęstych włosów i w podziw wprowił olbrzymów swą sztuką robienia rzeczy użytecznych z tego co się zdaje być na nic.

Uprosiwszy garderobianę, która czesała królowę, aby dała mu trochę włosów królowej na pamiątkę, wypłatał niemi fotele, które wręczył swej możnej pani ciesząc się, że kazala schować do swej szafy i wyjmować na pokazywanie swym gościom.

Guliwer, widząc, że monarcha olbrzymów kocha muzykę i często sprowadza grajków aby urządzali koncerty, postanowił mu zrobić przyjemność i zagrać.

Cóż, kiedy jedna oktawa była tak długą, że ani sposób było coś wygrać. Jednego klawisza objąć rękami nie był w stanie!

Co tu począć? Guliwer znalazł sposób i na to.

Słyszał muzykę olbrzymów, wiedział, że im idzie tylko o hałaśliwe dźwięki, nie o piękny ton.

Urządził się w ten sposób, że nogami wybijał dźwięki, biegając jak szczur po klawiszach.

Robił tym sposobem hałas okrutny, który mocno podobał się olbrzymom, i coraz bardziej zjednywał mu ich serca.

Kochali go wszyscy, król, królowa, dworzanie, a najbardziej przywiązana doń sercem jego młoda piastunka.

Razu pewnego, król zebrawszy dworzan oznajmił wszystkim, że zdrowie jego, królowej, a i przyjaciela ich Guliwera, wymaga wyjazdu nad morze.

Postanowiono wkrótce jechać, umocniwszy domek Guliwera kratami żelaznymi

i urządziwszy dach w ten sposób, żeby za pociągnięciem sznurka, mógł się dla wpuszczenia powietrza otwierać.

W drodze, prócz nieodstępnej jego piastunki, był też przeznaczony dla Guliwera służący, który go trzymał wraz z domkiem na kolanach, aby nie trząsł się bardzo podczas jazdy.

Jechali już dni kilka, gdy naraz królowi zachciało się wysiąść w jednym z miast nadmorskich, aby dzieła sztuki obejrzeć.

Guliwer został sam ze swym służącym i piastunką, a że był dziwnie jakoś osłabiony i chory, zapragnął odetchnąć morskiem powietrzem i prosił aby go zanesiono nad morze.

Córka olbrzymia, jakby wprzeczu nie-szczęścia, nie chciała na to pozwolić.

Ale Guliwer tak prosił, a ona tak go lubiła, że w końcu, choć ze łzami w oczach ustąpiła mu tym razem.

Nie poszła jednak z nimi, gdyż od jakiegoś czasu była chorą i po większej części leżała w łóżku.

O, gdyby wiedziała, co ją spotka, jaki ból i tęsknota szarpać ją będzie!.. Nie puściłaby Guliwera!

Tymczasem odeszła cicho do swego łóżka i usnęła, nie myśląc już o niczem więcej, jak tylko o swem niedomaganiu.

Służący zaniósł domek z Guliwerem nad brzeg morza, postawił go i poszedł szukać w skałach jaj ptasich. Widział bowiem przelatujące wciąż ptactwo i ukrywające coś u stóp skały.

Guliwer spał mocno, owiany morskiem zdrowem powietrzem, gdy naraz uczuł się wstrząśniętym i uniesionym z ziemi.

Przerażony, nie wiedząc co się z nim dzieje, wyrztał przez swe okienko i cóż widzi?

Ogromny orzeł uchwycił za sznurek przymocowany do domku i uniósł go nad morze.

Groza, przerażenie odebrały prawie przytomność Guliwerowi.

Ale całym wysiłkiem przemógł omdlenie i wysunawszy głowę z domku, krzyki rozpaczyny wydawał.

Niestety! Wszystko na próżno! Głos jego nikł i ukrywał się w szumiących bałwanach morskich, a wysokość, na jaką wznosił go orzeł, nie dawała go nikomu dojrzeć.

Zawisły między niebem a morzem, Guliwer utracił prawie przytomność, jedna myśl tylko, myśl straszna nurtowała w jego zalekłej głowie: Co będzie, gdy go orzeł zanieśie i na skałę do gniazda rzuci?

Rozszarpią go żywcem i nie powróci już do rodziny i kraju i tak marnie, tak marnie zakończy swe życie.

— Masz czegoś chciał! — szeptał zbladłemi usty Guliwer — zachciało ci się podróży, przygód!.. Opuściłeś dom, ojczyznę, cierp teraz!

Gdy tak myśli Guliwer, naraz posłyszał nad sobą łopot silny skrzydeł, potem wstrząśnięcie straszne, spadanie gwałtowne w dół i Guliwer znajduje się na bałwanach morskich!

Upuścił go orzeł! Był dlań za ciężki! Ale co teraz nastąpi?

Toć nie utrzyma się na falach, jeśli wicher zacznie nim miotać, jeśli domek jego przedziurawi się i napełni wodą...

Ale cóżto? Szum jakiś i jakby go ciągnięto.

Nie może zrozumieć, co się z nim dzieje, wysuwa głowę, krzyczy, macha chustką... Nic! Cisza złowroga, tylko szum ten dziwny

i to dziwne uczucie, jakby go ktoś włókł poza sobą!

Wtem zatrzymuje się, słyszy gwar jakiś. Ach! czyżby to ludzie? czyżby przyszło nań wybawienie?..

Głosem jaknajsilniejszym woła o ratunek i natychmiast nad głową swą słyszy stąpanie i głos jakiś pyta:

— Czy jest kto w tym domku?

— O tak! jest nieszczęśliwy Anglik, rzucony na pastwę losu... Ratujcie!..

— Zaraz! zaraz! nasz majtek wejdzie na dach, przedziurawi go i wyjdzie pan z tej dużej klatki!

— Cierpliwości!

W tejże chwili oderwano kawałek dachu, postawiono drabinę i Guliwer wszedł na pokład okrętu, rozglądając się wokoło ciekawie.

Dziwnem mu się wszystko zdawało. I ci mali w porównaniu z olbrzymami ludzie i ten okręt i sprzęty... Sen, sen chyba!

Kapitan patrzył na niego podejrzliwie, majtkowie otrzymując dziwne zapytania i odpowiedzi od Guliwera, uważali go za obłąkanego...

Wreszcie kapitan widząc, że Guliwer słania się z osłabienia, zaprosił go do kajuty, dał kieliszek koniaku i kazał mu się położyć.

Guliwer spał kilka godzin bez przerwy, poczem zapytany przez kapitana o swe dzieje, opowiedział wszystko, jak było w istocie, a mówił tak szczerze i takie dawał dowody swej prawdomówności, że kapitan wszystkiemu uwierzył i postanowił go dowieźć na swym okręcie do Anglii.

W dziewięć miesięcy po cudownem ocaleniu, znalazł się Guliwer w swej ojczyźnie.

Zacny kapitan, nie chciał niczego przyjąć od Guliwera za przejazd okrętem, ofiarował mu jeszcze trochę pieniędzy na konia i przewodnika.

Podczas jazdy konno, zdawało mu się wciąż, że jest u Liliputów.

Przywykły przez dwa lata pobytu u olbrzymów, do ogromnych postaci ludzkich, wyobrażał sobie, że ci, normalnego wzrostu ludzie, są Liliputami.

Z obawy, aby kogo nie zdeptać, szedł Guliwer ostrożnie, oglądając się na wszystkie strony i patrząc, czy komu nie zrobił krzywdy.

Gdy Guliwer wchodził w progi swego domu, otworzył mu drzwi służący, zdziwiony, że pan jego wchodzi cały pochylony, bojąc się uderzyć w głowę, podczas gdy drzwi były wysokie.

Podczas powitania z żoną, schylił się do samych stóp, sądząc, że inaczej nie dosięgnie jej twarzy.

Ze wszystkimi obchodził się bardzo dziwnie i na wszystkich wywarł wrażenie obłąkanego.

Po jakimś czasie przywykł do wzrostu ludzi, zrozumiał, że wszyscy są tacy, jak i on i zupełnie powrócił do normalnego stanu.

Ale żona Guliwera wciąż powtarzała, że stanowczo nie wypuści go z domu i nie pozwoli na dalsze podróże na morzu.

CZĘŚĆ III.

ROZDZIAŁ I.

Guliwer podróżuje w charakterze kapitana okrętu. Bunt załogi. W kraju Houyhnmśów.

Pięć miesięcy Guliwer przebył wśród rodziny, a miesiące te były bardzo szczęśliwe.

Nie bał się nikogo i niczego, otoczony był przyjemnymi twarzami, miał wszystko czego mu było potrzeba, wreszcie szanowany był i lubiany przez wszystkich.

Ale chęć podróżowania, pomimo awanturniczych przygód, nie ominęła Guliwera.

Posłyszawszy o wakującym miejscu kapitana okrętu, zgłosił się natychmiast i zaraz został przyjęty.

Pożegnawszy żonę i dziecko, puścił się Guliwer w drogę 1710 roku w Listopadzie.

Podczas podróży, w jaką puścił się nigdy niepoprawny Guliwer, bardzo wielu z załogi pomarło na żółtą febrę, wskutek czego musiano zatrzymać się na jednej z dużych wysp i stamtąd nabrać ludzi do pracy.

Ale pożałował Guliwer wkrótce swego wyboru.

Ludzie ci po większej części byli bandytami i dużo zmartwień mu przysporzyli.

Przedewszystkiem głucho ich bunty zamieniły się wkrótce w groźby i urągania.

Rozbroiwszy pozostałą część dawniejszej załogi, ludzie ci rzucili się na Guliwera, związali go, a obezwładniwszy, zagrozili wrzuceniem do morza, o ileby Guliwer opierał się ich żądaniom.

Guliwer nie myślał bynajmniej o oporze, bo i na cóżby się to zdało?

Bandytów była moc, a on sam, opuszczony od wszystkich.

Uwiązano go łańcuchem za nogę do łóżka i pozostawiono w spokoju.

Zamiarem ich było owładnąć okrętem, sprzedać go i rozdzielić między sobą pieniądze.

Ale co zrobić z Guliwerem?

Po naradzie, jeden z bandytów wyprowadził go z pokoju, uwolniwszy go z więzów i pozostawiwszy mu pałasz, pakunek z rzeczami i pieniądze.

W odległości dość znacznej od okrętu, u brzegów jakiejs wyspy, Guliwer został sam.

Na zapytanie u swego przewodnika, co by to była za wyspa, odpowiedział, że nie wie i odszedł, uśmiechając się szyderczo do swych towarzyszy.

Guliwer usiadł na brzegu i myślał, co ma ze sobą zrobić i dokąd kierować kroki.

Postanowił iść i o ileby spotkał jakiego dzikiego na drodze, okupić życie paciorkami, blaszkami i różnemi drobiazgami, których dużo ze sobą zabrał.

Wyszedłszy na drogę, stanął zdziwiony.

Ani mieszkania ludzkiego, ani śladu ludzi, pustka i skały...

Tylko pola całe zasiane owsem, każdy kawałek ziemi poświęcony na hodowlę tego zboża...

Wysokie, pomimo pochylonych kiści słomy owsa, zieleniały jak gaje nieprzebyte...

Żadnych innych zbóż ani widać...

— Co to za ludzie tu mieszkają — myślał Guliwer.

Toć samem owsem żywić się niepodobna!

Szedł prosto, oglądając się poza siebie, czy nie biegnie kto za nim, lub też czy nie pędzi doń strzała, przez kogoś nieprzyjazznego wypuszczona...

Po kilku godzinach drogi, Guliwer spostrzegł, jakby ludzi, ale napół koni, siedzących na drzewach.

Chodziły też i krowy po łąkach, skubiąc trawę.

Ci pół ludzie, pół konie, byli przerażającej powierzchowności.

Długie włosy różnej barwy, spadały im na twarze, piersi, przednie łapy pokryte były gęstą sierścią, brody mieli podobne do koźlich.

Reszta ciała była pozbawiona sierści, ukazując skórę koloru ciemno - brunatnego.

Siedzieli ci dziwni ludzie, czy zwierzęta na trawie, inni leżeli, jeszcze inni stali na tylnych łapach.

Stworzenia te skakały, wdrapywały się na drzewa ze zwinnością wiewiórek, miały przytem ogromnie długie pazury.

Kobiety, czy też samice, bo nie wiedział Guliwer, czy to ludzie, czy zwierzęta,

miały bardzo długie włosy, koloru białego, czarnego, żółtego, zielonego, niebieskiego i innych barw jaskrawych, były o wiele mniejsze od samców.

Guliwer spoglądał z odrazą na te dziwne twory, rozważając, że w życiu swem niczego podobnie brzydkiego i odpychającego nie widział.

Po przyjrzeniu im się dostatecznie, Guliwer wyruszył w dalszą drogę, rozmyślając nad tem, że być może wyszuka jaką chatkę indyjską, w której gościnnie przyjęty, zamieszka, oczekując na okręt, któryby go zabrał do ojczyzny.

Naraz, gdy tak rozgląda się wokoło, poszukując ludzkiego schronienia, staje przed nim stworzenie, widziane przed chwilą i ze zdziwieniem, jak na kogoś sobie nieznanego spogląda.

Guliwer, zatrzymany przez tego potwora stał, nie wiedząc co z tem spotkaniem robić.

Gdy wtem potwór ten podniósł na niego przednią łapę.

Oburzony do głębi i widząc, że musi się bronić, uderzył szablą po łapie, nie kalecząc wprawdzie, ale dając uczuć swą siłę.

Zwierzę poczuwszy ból, rzuciło się ku ucieczce, wydając okropne jęki.

Na krzyk ten przybiegło ze czterdzieści podobnych stworzeń, rzucając się ku Guliwerowi.

Ten ostatni oparł się o jedno drzewo i zaczął wymachiwać pałaszem.

Wtedy obrzydłe stworzenia, powdrapywały się na drzewo, chcąc nieznanego przybysza aż stąd atakować.

Ale coś im przeszkodziło, bo zaczęły w ogromnym popłochu zmykać co sił od Guliwera.

Guliwer odszedł spokojnie od drzewa, zaciekawiony, coby to takiego mogło odpędzić w przerażeniu całe napastujące go stado potworów.

Obejrzawszy się wokoło, spostrzegł spacerującego rumaka.

Ten to koń wypędził swem ukazaniem się straszdyła i uwolnił go od ich napaści.

Koń zbliżył się do Guliwera, oglądał go od stóp, do głowy, wreszcie, jakby mocno zdziwiony przystanął, przyglądając mu się badawczo.

Guliwerowi podobał się ten wspaniały rumak o słodkiem i poważnem spojrzeniu

Zaczął go głaskać po szyi, wymawiając najpięszczośliwsze wyrazy.

Ale koń zmarszczył brwi i przednią nogą zatrzymał głaszczącą rękę śmiałka.

Tyle dumy i godności było we wzroku zwierzęcia, że Guliwer zrozumiał, iż nie jest to zwykły rumak na łące się pasący i zaraz usunął rękę.

Tymczasem koń zaczął wydawać głos bardzo silny i rzeć na różne tony, przywołując swego towarzysza.

Na wezwanie to, przybiegł zaraz drugi koń, przywitał go bardzo grzecznie, poczem obaj zaczęli rzeć na różne tony, wyrażając niemi zapewne różne myśli.

Odeszli na stronę, zdala od Guliwera, rozprawiając o czymś poważnie na boku, jakby nie życząc sobie, żeby słyszał, co mówią.

Śmieszny widok przedstawiały te dwa zwierzęta idące obok siebie, potrząsając, lub kiwając głową i oglądając się wciąż poza siebie, żeby nie pozwolić Guliwerowi na ucieczkę.

Widząc to Guliwer, zmiarkował, że jeśli zwierzęta w tym dziwnym kraju są tak rozsądne, to cóż myśleć o ludziach, zamieszkujących tę owsianą krainę?

Muszą być bardzo mądrzy i bardzo cywilizowani.

Postanowił więc iść ścieżką prosto przed siebie i dotrzeć do jakiego domku zajętego przez mieszkańców.

Ale zaledwie zrobił kilkanaście kroków ku ścieżce, pierwszy z koni zaczął za nim rzeć w tak wymowny sposób, że nie trzeba było Guliwerowi tłumaczyć ludzką mową, co miało znaczyć to rzenie.

Przystanął więc, a duże konie podeszły do niego, ścisnęły go swemi ciałami, nie pozwalając się ruszyć z miejsca i zaczęły go bardzo drobiazgowo oglądać.

Szczególnie podobał się im kapelusz Guliwera i surdut.

Jeden z nich zaczął obwąchiwać jego rękę prawą, poczem na znak przyjaźni, ścisnął tak mocno w swych kopytach, że Guliwer zaczął wydawać okrzyki bólu, starając się w jakikolwiek sposób obronić się od tych końskich pieszczot.

Krzyk Guliwera zachwycił zwierzęta. Spoglądały na siebie zadowolone, porozumiewając się oczami i rzeniem.

Grzeczność, roztropność tych zwierząt i ich dziwna rozmowa, którą i Guliwer za-

czął rozumieć, przywiodła mu na myśl różne opowieści o zaczarowanych królewiczach i księżętach.

Patrząc na te rozumne stworzenia, był przekonany, że są to zaczarowani ludzie, że cała ta kraina, to coś niezwykłego, nienormalnego, że widocznie jakiś mściwy czarownik rzucił czar na te skały i pola i mieszkańców zamienił na zwierzęta.

Nie dziwił się już Guliwer zaciekawieniu zwierząt, co do jego ubrania i postaci.

Cieszyły się zapewne, że ujrzały człowieka, który im dawne czasy przypominał i chciały go zapewne o dużo rzeczy zapytać.

Rozumując tak, Guliwer postanowił do nich, jako zapewne rozumiejących ludzką mowę przemówić.

A więc stanął naprzeciwko nich i w te odezwał się słowa:

„Panowie konie, jeśli jesteście zaczarowani przez złego człowieka, to rozumiecie mą mowę. Oznajmiam wam przeto, że jestem biednym Anglikiem, wyrzuconym na brzeg wyspy przez niegodziwych ludzi, służących na okręcie, którego byłem kapitanem.

Pozwólcie mi, miłe zwierzęta zaczarowane, abym usiadł na którego z was i doje-

chał do jakiego miasteczka, gdziebym spotkał ludzi i mógł przy ich pomocy do kraju swego powrócić.

Za przysługę tą, ofiarowałbym wam ten syczoryk i tę bransoletkę“.

Konieprzysłuchiwały się z zajęciem przemowie Guliwera, poczem obróciły się do siebie i zaczęły rzeć w dziwny sposób.

Przekonał się Guliwer, że przemowa jego była zrozumiana i że o nim to rozprawiają zwierzęta.

W rzeniu ich Guliwer słyszał wciąż powtarzający się wyraz „Jahu“.

Chcąc więc wyuczyć się tego wyrazu i ucieszyć mądre stworzenia, Guliwer zbliżył się do nich i po kilka razy powtarzał ten wyraz, pobudzając ich tem do wielkiego zadowolenia.

Jeden z koni, chcąc lepiej wyuczyć Guliwera tego wyrazu, powtarzał wciąż ten wyraz, oczekując na powtórzenie przez niego w ten sposób, jak on go pouczał.

Guliwer zadowolił wreszcie swego nauczyciela, podchwytyjąc ton wyrazu i zasłużył na łaskawe kiwnięcie głową.

Drugi koń chciał go wyuczyć innego wyrazu, ten był niezmiernie trudny i miał brzmienie tego rodzaju: „Houyhnm“.

Nie wyuczył się tak prędko, jak poprzedniego, ale w każdym razie wymówił go, jak umiał najlepiej i dwaj nauczyciele byli z Guliwera zupełnie zadowoleni.

Po cichej ze sobą rozmowie, oba konie dały znać, że audjencja, lekcja i sąd nad Guliwerem skończony.

Poszedł za nimi, widząc, że opozycja na nic się nie zda, ale gdy starszy z koni okazał rzeniem niezadowolenie z powodu niemożności Guliwera dorównania jego biegowi, ten ostatni okazał mu gestami swoje znużenie i konie, bardzo grzecznie zwolniły biegu, a nawet pozwoliły Guliwerowi trochę odpocząć na murawie.

Guliwer usiadł natychmiast na wonnej trawie i puścił bieg myślom.

Co to jest? gdzie się znajduje? czyżby oszalał?

A może zdaje mu się tylko, że to ruma-ki, może w oczach jego, dziwne rzeczy do-tąd widzących, coś się zmieniło i pokazują mu zwierzęta zamiast ludzi?

Jednocześnie myślał Guliwer, że te dziwne rumaki są bardzo dla niego uprzejme i o wiele mniej niebezpieczne od lilipucich istot, które mu nadokuczały wiele i śmierci jego pragnęły.

Podczas gdy Guliwer rozmyślał, najszlachetniejszy z rumaków stał nad nim i coraz wydawał dźwięki brzmiące: hhuum, hhuum

Zrozumiał Guliwer, że piękne zwierzę niecierpliwiło się jego przydługim wypoczynkiem i zadumą, ale zmęczenie wzięło górę nad posłuszeństwem i Guliwer czas jakiś jeszcze wypoczywał i nad swą dziwną dolą dumiał.

Niecierpliwe, a nawet groźne wołanie rumaka, wraz z poruszeniem go kopytem, przywołało naszego bohatera do rzeczywistości.

Podniósł się z zieleni traw i z westchnieniem stanął przy rozkazodawcy.

Pełne zadowolenia hhuum, hhuum, odpowiedziało mu na jego powstanie, a ogólne rżenie i wesołe podskoki, świadczyły o lubowaniu się w biegu.

Siedzieć, ani leżeć owe mądre stworzenia nie chciały, biegłyby wciąż w przestrzeń

bez końca, jak prawdziwe wolne stepowe zwierzęta.

Guliwer rozmyślał nad tem, idąc spieszenie koło przywódcy, jaka to wielka, bezmierna różnica między koniem wolnym, a niewolnikiem w uprzęży.

Sam wygląd rumaka na swobodzie będącego, różnił się wielce od wyglądu zaprzężonego, ujarzmionego konia w mieście.

Przepiękna grzywa, ruchy swobodne i lekkie, wesołość w oczach, cechowały wolnego mieszkańca stepów, bujającego z werwą wśród towarzyszy, jak i on szczęśliwych i wolnych.

Rzenie silne, intonacja wydawanego przez rumaka głosu, była inną zupełnie od spracowanego dźwięku niewolniczego, ujarzmionego konia.

Cichy, żaloszny jęk wyrwał się z piersi Guliwera, na wspomnienie widzianego nieraz zaprzężonego do ciężkiego wozu niewolnika, konia.

Przed oczyma jego stanął ciężki, ładowny wóz i poganiana przez nielitościwego woźnicę, szkapa.

Poprzecinana batem skóra, wystające, wychudzone boki, ośleple od bicia i kurzu źrenice, przedstawiły mu się tak jasno, że zakrywszy oczy, zapłakał...

Zdziwił się dowódca temu dziwnemu usposobieniu Guliwera i zatrzymawszy go na drodze, stanął i smutnem pytającym, hhuum, hhuum, zapytał.

Guliwer objął szlachetnego konia za szyję i przytulony do niego wyplakał żal i wstyd swój za bezlitośnych i okrutnych ludzi, co wyrwali zwierzęta wolne z pośród cudów natury i znęcali się nad niemi, wyzyskując ich siły nadmierną pracą i katując za niepopelnione winy.

Koń, jakby zrozumiał to, co się działo w sercu Guliwera, przytulił się też do niego i żalosnym kwikiem odpowiadał na lzy towarzysza.

I tak stali chwilę długą, człowiek i zwierzę, złączeni wspólnym uściskiem, a patrzyło na to niebo błękitne i złociste promienie słońca i cała milcząca przyroda.

ROZDZIAŁ II.

Guliwer zaprowadzony do jednego z mieszkańców. Kłopot ze znalezieniem odpowiedniego pożywienia dla Guliwera.

Po przebyciu około trzech mil, Guliwer znalazł się ze swymi towarzyszami w okolicy również obsianej owsem i również skalistej i pustej.

Po kwadransie mniej więcej drogi, ujrzał przed sobą domek budowany z drzewa, bardzo szeroki, ale niski, pokryty słomą.

Sądząc, że podarkami ujmie sobie mieszkańców tego domu, Guliwer zaczął wydostawać z kieszeni różne drobiazgi, które w kraju ludzi dzikich, wywołałyby napewno podziw i okrzyki radości.

Konie wpuściły Guliwera bardzo grzecznie przed sobą, dając mu poznać salę tego domu i przyjrzeć się wszystkiemu, co go interesowało.

Sala była bardzo czysta, stokroć czystsza od chat wieśniaczych, gdzie na poły ludzie, na poły zwierzęta jedzą, zamieszkują i zanieczyszczają izbę.

Guliwer, zauważył w tej sali trzy piękne konie i dwa żrebaki, które siedziały sobie na dwóch nogach, przyglądając się jedzącym ze żłobu koniom.

Całem bowiem umeblowaniem tej dużej sali, był żłób i kufer, napełniony napewno zapasowem pożywieniem.

Starszy z koni, który pierwszy zapoznał się z Guliwerem, wchodząc, zarżał głośno, a ton jego rżenia miał w sobie dumne dźwięki, zdające się mówić: Ja tu panem i władcą!

Konie stojące przy żłobie, odpowiedziały pokornym odgłosem, jakby bały się obrazić zbyt głośnem witaniem i napowrót zabrały się do jedzenia.

Żreback podniósł się szybko i w podskokach podbiegł do jednego z przybyłych koni, ale surowy wzrok rumaka i charakterystyczne podniesienie brwi do góry, powstrzymało jego zapędy.

Hi! hi! hi! hi! hi! hi! zarżał tylko głosem żalonym, obracając się ku jedzącej klaczy.

Guliwer przeszedł jeszcze szereg sal podobnych pierwszej, aż się znalazł w niedużym, jakby przedpokoju, gdzie dano mu poznać, żeby nie szedł za przewodnikiem, lecz zaczekał.

Zrozumiał Guliwer, że właściciel tego domu, przed którym miał stanąć, musiał być wielkim dygnitarzem, przed którego oblicze nie można się ukazać bez uprzedniego za-
wiadomienia o gościu.

Ale z drugiej strony, myśl, że dygnitarz ma końskich lokai, rozśmieszyło go, wreszcie przyprawiło go o strach, czy czasem nie dostał z tych wszystkich przygód pomieszania zmysłów.

Rozglądał się wokoło, jak człowiek który z ciężkiego i przykrego snu nie może, się obudzić i czekał cierpliwie końca tej całej przygody.

Po długiej chwili oczekiwania, nadszedł koń i dał znak, aby szedł za nim.

Weszli do sali, jak poprzednio dużej i bardzo czystej i Guliwer spostrzegł na derce kolorowej siedzącą klacz, u której boku tuliły się dwa małe białe źrebiątka.

Klacz podniosła się szybko i podeszła do Guliwera, podając mu przednią nogę do uścisku, poczem obeszła go wokoło, oglądając i wydając ciche rzenie.

W rzeniu tem słyszeć się dawał wciąż wyraz Jahu, Jahu.

Zrozumiał Guliwer, że była to żona owego prowadzącego konia, tembardziej, że tutaj czulej patrzył na gromadkę i nawet parę razy polizał piękne żrebaki.

Wyszedłszy z sali rodzinnej, znalazł się Guliwer w drugim, odległym o kilkaset kroków domku, gdzie ujrzał też same straszidła, ni to ludzie, ni to zwierzęta, które już na początku swego tutaj przybycia oglądał.

Potwory te, przykute były za szyje łańcuchem do ściany i pożerały z łapczywością korzenie, mięso z osłów, psów i krowy.

Sposób ich jedzenia był okropny. Rozszarpywały wprost na kawałki i wpychały sobie do paszczy pazurami, a nie zaprzestały jedzenia ani na chwilę.

Koń, który wszedł z Guliwerem, a który jak się okazało, był tu władcą wszystkich, kazał rozkuć z łańcucha jednego z tych pół ludzi i przyprowadzić do siebie.

Postawił go obok Guliwera i porównywał ich począł co do wyglądu.

Powtarzał się wciąż przytem wyraz Jahu.

Przyjrząwszy się bliżej temu stworzeniu Guliwer zauważył z przerażeniem, że było ono zupełnie podobne do człowieka.

Twarz tylko miało bardzo szeroką i płaską, nos wciśnięty, wargi grube i usta bardzo duże i bardzo szerokie.

Reszta członków była normalna, prócz rąk, u których spuszczały się bardzo długie pazury. Skóra u tego pół człowieka była ciemno brunatna a włosy okrywały czoło i twarz całą czyniąc go podobnym do zwierzęcia.

Konie nie miały na tyle rozumu, żeby odróżnić skórę od ubrania, toteż odzież Guliwera uznano za skórę i z tego powodu zawyrokowano, że Guliwer jest stworzeniem zupełnie od innych odmiennem i nie może się nazywać tak jak ci, którzy dawno już w krainie owsa zamieszkali.

Postanowiono nakarmić czem Guliwera, przypomniano sobie iż biedny podróżnik nie jadł nic od czasu przybycia do nich.

Rzeniem zawołano lokaja, który stojąc przed Guliwerem na dwóch nogach jak człowiek, podał mu korzonek dopieroco wykopany z ziemi, aby spożył.

Nie tknął tego Guliwer, tylko dla przyzwoitości potrzymał trochę w ręku i oddał ofiarodawcy.



Zaczęto więc szukać u Jahutów czegoś innego do zjedzenia i przyniesiono Guliwerowi kawał oślecia.

Guliwer nie mógł patrzeć bez wstrętu na kawał ociekającego krwią mięsa i odmówił przyjęcia, tłumacząc się bólem serca i głowy.

Wtedy lokajczyk rzucił mięso jednemu z Jahutów, który pożarł natychmias z ogromnym apetytem.

Ofiarowano Guliwerowi na obiad wiązkę siana i owsa, a gdy odmówił, wtedy gestami rozpaczki pokazywali mu, że nie wiedzą, coby mu dać do zjedzenia.

Guliwer był też ogromnie zaniepokojony, co będzie jadł w tym kraju, dopóki stąd nie wyjedzie.

Nie widział żadnych potraw dla siebie odpowiednich, nie spostrzegł ani jednego drzewka z owocami, ani strąka grochu na polu... Owies tylko i owies!

Wreszcie stojąc bezradny i zgłodniały, zauważył przechodzącą koło nich krowę.

Pokazał obecnym ruchem ręki, że chciałby ją wydoić, na co zaprowadzono go do innej sali, gdzie Guliwer zastał mnóstwo garnków i blach pełnych mleka.

Napiwszy się mleka dowoli, pokrzepiony, nabrał odwagi do walki z nieszczęsnym losem, który go między zwierzęta na tę wyspę rzucił.

Po obiedzie, składającym się z dużej ilości mleka, zauważył Guliwer wjeżdżający na podwórze powóz.

W powozie tym siedział bardzo stary i zasłużony koń, którego szanowano i przyjmowano ze czcią, wszędzie, gdzie raczył być z wizytą.

Ciągnęło go kilku Jahutów, uginając się od zmęczenia i często pot z czoła ocierając.

Przybył ów dostojny dygnitarz do pana Guliwera i po długich zaprosinach i namowach zgodził się na zjedzenie obiadu.

Uczta, którą honorowano starego pana konia składała się nietylko z siana i owsa suchego, lecz także z owsa gotowanego z mlekiem.

Pan Guliwera kazał mu się zbliżyć, a gdy podszedł do nich, zaczęto go oglądać, powtarzając często wyraz Jahu.

Guliwer włożył naumyślnie rękawiczki. Konie patrzyły z podziwem na zmianę jego ręki, dotykały, wachały, wreszcie jeden

z nich, dotknął go parę razy nogą, jakby chcąc okazać swe niezadowolenie.

Guliwer zdjął rękawiczki, czem zdobył życzliwość swych panów. Jeden z nich, podał mu na podziękowanie kopyto.

Po skończeniu obiadu, koń będący tu najważniejszą figurą, podszedł do Guliwera i wymownemi ruchami i specjalnem rżeniem okazywał mu smutek, z powodu, że nie miał mu co dać do zjedzenia.

Guliwer zaczął powtarzać raz po raz wyraz Hunnh, który oznaczał u koni owies i pokazywał na usta, tłumacząc, że chciałby mieć tego do syta.

Uradowany koń natychmiast kazał mu przynieść cały półmisek najpiękniejszego owsa, aby miał choć raz tego dowoli.

Guliwer zaś zużytkował to w ten sposób, że nalawszy mleko do garnka gotował je wraz z wyluskiwanym owsem, otrzymując doskonałą kaszę.

Drugą potrawą Guliwera wyrabianą z owsa, było ciasto z mąki owsianej, które jadł zamiast chleba.

Guliwer przyzwyczaił się prędko do tych potraw i przez cały czas swej bytności

w tym kraju nigdy nie cierpiał na żadne, przedtem doznawane niedyspozycje.

Czasami, stęskniony za mięsem, wybierał się na polowanie na króliki i ptaszki, które łapał w sidła, zrobione z włosów Jahuta, czasem także nazbierawszy jadalnych jarzyn urządzał z tego sałatę, a od czasu do czasu ubijał masło.

Jednej mu brakło przyprawy, bez której nie smakowała sałata i zupy — brakło mu soli, której tu w tym kraju zupełnie nie znano.

Ale z czasem przywykł Guliwer i do tego braku, uznając sól za niekoniecznie potrzebną.

Wieczorem, kiedy wszystkie zwierzęta i Jahuci zabierali się do snu; zaprowadzono Guliwera do pokoju dlań przygotowanego, o sześć kroków od salonów właściciela domu.

Rzucono kilka snopków słomy, przykryto odzieniem i pozostawiono Guliwera samego.

Guliwer spał mocno, nie budząc się ani razu w ciągu nocy, po przebudzeniu zaś rano, posłyszał nad sobą rżenie konia, który oczekiwał na jego wstanie.

ROZDZIAŁ III.

**Guliwer wyucza się języka mieszkańców. Wi-
zyta Houyhnmów. Opowiadanie Guliwera
o przygodach.**

Język mieszkańców tej krainy, gdzie przebywał Guliwer, był bardzo trudny.

Mówiło się u nich i gardłem i nosem, dźwięczał tak jak język niemiecki, z tą różnicą, że był o wiele miłszego akcentu i delikatniejszy.

Guliwer pragnął mocno wyuczyć się tego języka.

Chciał rozmawiać z temi szlachetnemi zwierzętami, które mu tyle okazywały życzliwości.

Siadał więc przy nich na podłodze, i pokazywał rękami jakiś przedmiot, który natchmianem został nazwany przez konie i w ten sposób Guliwer poznał nazwy przedmiotów i w rozmowie ze swym panem posiłkował się jego językiem.

Polubiono Guliwera i zaczęto szanować za jego delikatność, dobroć i łatwość w nabywaniu potrzebnej w tym kraju wiedzy.

Guliwer wprowadzał w podziw zapisywaniem wszystkiego, czego się nauczył.

Konie bowiem i Jahuci, nie mają najmniejszego pojęcia o pisaniu.

Razu pewnego pan Guliwera poprosił go o opowiedzenie historii całego życia.

Guliwer opowiedział mu swe dzieje, prawie od dojścia rozumu, aż do obecnego czasu.

Historja z Liliputami rozśmieszyła go bardzo, tem więcej, że Guliwer umiał barwnie mówić i nieraz upiększać opowiadanie śmiesznymi zwrotami.

Jednemu tylko opowiadaniu nie chciał dać wiary.

Przygody z wyrzuceniem Guliwera z okrętu i pozostawieniem na wyspie, nazwał kłamstwem.

Dowodził, że żadnych okrętów Jahuci nie potrafiliby zbudować, że budynki tego rodzaju nie istnieją, że wszystko co mu Guliwer opowiedział o okręcie, jest kłamstwem.

Musiał zamilczeć, bo dostałby kopytem. Sprzeciwić się jego Wysokości nie było można.

Razu pewnego, gdy Guliwer spał smacznie, przyszedł kamerdyner jego Wysokości

i ujrzawszy Guliwera skórę, jak myślał, na stolku, zdziwił się ogromnie i przycwawawszy do swego pana, zaczął opowiadać, jakto znalazł Guliwera śpiącego bez skóry, która leżała na stolku. Sam zaś Guliwer miał inną na sobie niż zwykłą skórę.

Zdziwiony pan pogalopował czempredziej do Guliwera, chcąc przekonać się o prawdziwości słów swego lokaja.

Przybywszy, zapytał Guliwera, co by to znaczyło, że ma dwie skóry na sobie i w jaki to sposób zdejmuje z siebie jedną z tych skór?

Guliwer widząc, że nie wykręci się z tego kłopotu, opowiedział mu, że w jego kraju istnieje zwyczaj wkładania na siebie ubrań i że on, obawiając się, aby go nie spotkał los Jahutów, posiadających podobne do niego ciało, nie mówił o tem nikomu.

Koń kazał mu się rozebrać, gdy to zrobił, zdziwił się mocno białości jego skóry i wyraził przekonanie, że stanowczo Guliwer jest z rodu Jahutów, różni się tylko kolorem skóry, brakiem włosów po całym ciele i delikatnością obejścia.

O ile Jahuci są źli, mściwi, ordynarni, o tyle Guliwer dobry, przebaczący i delikatny.

Guliwer prosił konia o zachowanie tajemnicy, co do ubrania, które wszyscy uważali za skórę i o nakazanie lokajowi, aby nic o Guliwerze nie mówił, co do tej kwestji.

Jego Wysokość obiecała ukryć to wszystko, a Guliwer dziękował za to serdecznie, tłumacząc się, że tylko obawa, aby go nie wzięto za dzikiego Jahuta i nie kazano żyć w towarzystwie tych dzikusów, skłoniła do ukrywania tego, że jest odzianym.

Wytłomaczył przytem, że wszyscy z jego rodu, jemu podobni, noszą ubrania i nigdy nie pokazują się nadzy. Jestto u nich zwyczajem, którego się od wieków trzymają.

Koń pokiwał łbem i zawyrokował, że widać z tego zwyczaju noszenia ubrań, że Jahuci, do których on bezsprzecznie należy są niższym rodzajem od ich plemienia. Muszą bowiem tacy jak Guliwer i inni jego współbracia posilkować się skórami zwierzęcemi, aby pokryć swą nagość, gdy tymczasem konie nie potrzebują niczyich skór, mając własne przyrodzone okrycie.

Mowa tutejszych mieszkańców bardzo boga, zresztą Guliwer nie umiał jeszcze nazywać każdej rzeczy i dlatego język mu się często plątał i trudno było zrozumieć to co opowiadał.

Postanowiono więc nagwałt uczyć mowy tego kraju, aby posłyszeć opowiadania różne z jego awanturniczego życia.

Wyszedł więc od jego Wysokości rozkaz, aby wszyscy przyczyniali się do nauki języka, aby każdy rozmawiał jaknajwięcej z Guliwerem, by ten mógł dokładnie opowiedzieć swe dzieje.

Żona jego Wysokości, dzieci, służba, rozmawiały wciąż, opowiadały i wybadywały Guliwera, chcąc dogodzić najwyższemu władcy.

Po jakimś czasie, gdy Guliwer wyuczył się mowy krajowców, jego Wysokość zażądała opowieści.

Guliwer usiadł zdala, jak mu to było przykazane i w słowach oględnych, aby nie urazić swego dostojnego słuchacza, opowiedział o zdziwieniu swem, gdy przybywszy do kraju Houyhnmśów ujrzał istoty ludzkie, uważane za pozbawione rozumu i woli, gdy ujrzał rządy tych, którzy u nich uważa-

ni byli za niższe twory i służyli tylko ku pracy.

— Gdy wrócę kiedy do mej ojczyzny — mówił Guliwer, — nie uwierzy mi nikt, że jest kraj, w którym ludzie, zwani tutaj Jahutami, spełniają czynności zwierząt, a zwierzęta są ich panami.

Po wysłuchaniu tego ostatniego zdania słuchacz ogromnie był podniecony.

Nie mógł pojąć, jak dzikie, bezrozumne w jego myśli stworzenia, jakimi są Jahuci, mogą i śmiać rządzić tak szlachetnymi jak konie tworami.

— Nie, to niepodobna! — zakrzyczał — aby tak nikczemne, tak bezrozumne istoty miały rządzić i przewodzić nam, rozumnym i szlachetnym stworzeniom!

Nie uwierzę temu, nigdy nie uwierzę! Chociaż muszę ci wierzyć, bo z kraju tych pochodzisz, gdzie dzieją się takie nieprawidłowości...

Wreszcie, chociaż i ty jesteś Jahutem, ale jakimś innym okrzesanym i delikatnym, kłamać więc przedemnąbyś nie chciał!

Podparł się smutnie na kopycie i dumał

Bolesne być musiały te dumania, bo pochylała się szlachetna głowa władcy, a łzy z wyrazistych oczu padały kroplami.

— O, kraj ten kazałbym spalić i zmieść z ziemi — mówił jakby do siebie — gdzie są takie rządy i gdzie tacy niegodni jak Jahuci śmiać panować!

Guliwer wytłumaczył mu natychmiast, że tacy jak tutejsi Jahuci nie istnieją w jego ojczyźnie, że ci co rządzą, są cywilizowani i uczeni, ale koń uspokoić się nie mógł.

— Chociażby byli uczeni bardziej jeszcze od krajowców tutejszych, chociażby wszystkie rozумы posiedli, nie dorównają nam — szeptał wzburzony władca.

— Jakto taki twór marny, taki pozeracz oślego i krowiego mięsa, miałby rządzić istotami takimi jak my?! O, niedola!..

Guliwer nie wiedział jak uspokoić zrozpaczonego słuchacza, wreszcie zaproponował mu pójście na spacer, aby myśli smutne rozerwać i na drugi dzień jeszcze przykrzejsze rzeczy opowiedzieć.

Wyszedł Guliwer wraz ze swym panem, aby odetchnąć świeżem powietrzem i troskę z głowy jego wyrzucić.

Ale koń był niepocieszony. Kiwał głową, trząsł wspaniałą swą grzywą i dziwił się...

Zaczął już Guliwer żałować, że opowiadał o rzeczach tak przykrych dla Wysokości, ale jednocześnie myślał, że pomścił tych nieszczęśliwych Jahutów, co przykuci żelazem do ściany, jadali jak dzikie zwierzęta i pracowali ciężko dla zwierząt.

Zemsta ta jednak, po zastanowieniu się głębszem nie wydała się Guliwerowi sprawiedliwą.

Bo u niego przecież, w jego kraju cywilizowanym obchodzono się z nieszczęsnymi stworzeniami tak samo, a może i o wiele gorzej.

Odplata za bezlitosną ludzkość miała tu miejsce.

Ten dziki Jahut, zdziczały wskutek obejścia poniżającego, ze schyłym do bicia karkiem, uwiązany na łańcuchu, to obraz biednego konia w krainie Guliwera zamieszkałego, stworzenia bezbronnego, skutego różnemi żelastwami, niezdolnego nieraz poruszyć się w popręgach i wędzidlach.

Popatrzcie tylko na takie smutne zwierzę stojące przy wozie, lub poganiane rzeziennym biczyskiem.

Spójrzcie na jego załzawione i zakrwawione żrenice, wnuknijcie wgląd jego wejżenia a zobaczycie też same wylękle rzuty jak u nieszczęśliwego Jahuta, toż samo drżenie skatowanego ciała na widok pana.

Przypomnijmy sobie, jakto przy wejściu do tej dziwnej krainy opadły Guliwera te dzikie istoty i jak za ukazaniem się owego władcy-rumaka pierzchły natychmiast z przerażeniem.

Bali się Jahuci konia jak u nas koń boi się swego tyrana, tylko z tą różnicą, że Jahut mógł uciekać, a jakżeż umknie przed gniewem barbarzyńskiego swego pana, biedny w chomątach i żelazach twór koński?..

Guliwer szedł ze swym panem i rozmyślał nad tem, jakby mu tu osłodzić gorycz opowiadania, które musiał zakończyć, a które wywoływało same przez się smutne refleksje i bolesne zdziwienie..

Postępował więc obok szlachetnego zwierzęcia ze spuszczoną głową i z opuszczonemi rękami, bolejąc nad rozpaczliwie smutnym światem.

Bo i pocóż tu i tam ten podział? Skąd pochodzi ta różnica między tworami?

Po cóż odejmując z konieczności może, swobodę bujającym w wszechświecie stworzeniom, zatruwają im życie, zapędzają do pracy przenoszącej siły, biją, katuja, poniewierają?..

Smutne te rozmyślania na temat niedoli zwierzęcej przerwał towarzysz słowami:

— Mów dalej...

— Cóż ci powiem, szlachetny władco mój i panie?.. — zaczął Guliwer — same smutki i bóle do serca twego wnoszę...

Oto wiedz, szlachetny panie, że los mieszkańców tutejszej krainy, tam u nas, w świecie cywilizowanym, zależy zupełnie li tylko od takich jak Jahuci.

W młodości, gdy siły i zdrowie służą, taki jak wy tutejsi władcy, dostaje się w ręce dobre, pieszczą go, karmią owsem i cukrem, czeszą, myją i do lekkich używają zajęć.

Czasem wozi na swym grzbiecie tylko swego pana i to od czasu do czasu — niecodziennie nawet, czasem ciągnie powóz swego właściciela — częściej stoi w stajni..

— Coo? — zakrzyknął słuchający — Coo? na naszym grzbiecie siadają Jahuci?! O zgrozo! zakopałbym na śmierć śmiałka swemi twardemi kopytami, jeśliby coś podobnie poniżającego śmiał robić! Na nas, panów szlachetnych, władców Jahutów miałby siadać twór mięsożerny?.. To niepodobna!

— Siadają, panie, — rzekł Guliwer — i jestto najlżejsza praca dla konia nosić na swym grzbiecie człowieka. Są cięższe jeszcze prace i ponieważ straszniejsza...

Siada na rumaku rycerz, co chwałą jest i chlubą dla was, panie, bo wie dzie on go na bój krwawy i z nim razem pada często kulą nieprzyjacielską zabity...

Koń ze swym panem, zdobywa nieraz miasta, pobija wrogów i rżeniem radosnem wita zwycięstwo...

To nie hańba dla konia, że siada na nim człowiek!.. To nie nieszczęście!

Koń nie mógł już więcej słuchać. Za bolesne to było, co mu mówił Guliwer.

Przerwał rozmowę i wyruszył smutny do domu. Guliwer poszedł też do swego pokoju, zamierzając nazajutrz dokończyć owego opowiadania.

ROZDZIAŁ IV.

**Dokończenie opowiadania. Parlament koński.
Zadowolenie Guliwera i chęć pozostania zawsze wśród koni.**

Wczesnym rankiem, jego Wysokość przybyła, aby zakończyć rozmowę.

Wiedział Guliwer, że sprawi mu ból i rozrani serce, ale musiał opowiedzieć jeszcze o obejściu się ludzi z końmi.

— I cóż mi powiesz więcej? — spytał rumak Guliwera — Opowiedz wszystko śmiało, mocny dziś jestem i nerwy mam uspokojone przez sen — mogę słuchać...

— Panie — rzekł Guliwer — opowiedziałem ci jak obchodzą się ludzie z koniem, gdy jest zdrów i młody, teraz powiem, jaki go los spotyka, gdy obezwładnieje i starzeć poczyną.

Kupuje go Jahut, to jest człowiek nieokrzesany i dziki i używa go do najcięższej pracy.

Nie tak, jak z ludźmi los się z nimi obchodzi.

O, nie.

Starzec zgrzybiały, albo idzie na chleb łaskawy do swych dzieci, albo, zebrawszy pieniędzy żyje z procentu od kapitału, albo ma emeryturę.

A koń? O, nieszczęsne, miotane niedolą zwierzę!

Wtedy, gdy znużone pracą i wiekiem członki odmawiają mu posłuszeństwa, gdy radby skłonić gdzieś głowę i w cieniu drzew, lub kątku cichym odpocząć — wtedy właśnie kładą na jego barki ciężar, przewyższający jego siły, wtedy nie dają mu wypoczynku!

Westchnął słuchacz, a z głębokich oczu lży się polały...

— O, straszna poniewierko! — zajęczał — o, losie nieszczęsny!..

Ale Guliwer nie dał mu się długo smucić.

Chciał czempredziej zakończyć tę smutną historję, chciał przejść do innej rozmowy.

— Gdy koń stary nie może pracować — ciągnął dalej Guliwer — wyrzucają go na pole aby z głodu zakończył życie, lub zabijają go w sposób okrutny.

Potem zdzierają skórę, sprzedają, a pą-
dłego konia, pozostawiają na żer zwierząt
i dzikiego ptactwa. Oto dola konia! oto je-
go żalosny koniec!

Pochyliła się głowa słuchającego konia,
jak kirem żalobnym okryła się grzywą
i długi, długi czas nie było między Guliwe-
rem, a jego słuchaczem rozmowy.

Cisza wielka panowała wokoło i oni
dwaj cisi i jakby oniemiałi w bólu, szli obok
siebie nie mówiąc.

A natura dziwnie ponure miała wtedy
blaski, a zielone owsy szumiały żało-
śnie, a zdaleka dochodziło jakby bolesne
rzenie stojących przy żłobach źrebiąt.

Ale wszystko ma swój koniec. Przemi-
nął smutek słuchającego konia, rozjaśnił się
wzrok Guliwera.

Gdy podeszli do drzwi swego zamie-
szkania, koń pomyślał o owsie, którego po-
żądał, bo był głodny. Guliwer o swych plac-
kach owsianych.

Głód stłumił boleści i zapanował nad
smutkiem.

Guliwer po ostatniej rozmowie ze swym
panem, rzadko się z nim widywał, bo wład-
ca był mocno zajęty.

Przygotowywał walne roczne zebranie, na którym się odbyć miały bardzo ważne sprawy. Miał być przewodniczącym, musiał więc przygotować mowę, którą miał wygłosić.

Chodził wciąż zadumany ogromnie i coś układał, a był tak tą sprawą posiedzenia zajęty, że nieraz nie zauważył kogoś, z kimby się musiał przywitać.

Tak minął tydzień, podczas którego, przewodniczący nieraz i w nocy coś mruczał, tupał, a nieraz i słychać było dawane przez niego oklaski — widocznie dla siebie samego.

Nadeszło owo zebranie ogólne. Zebrali się wszyscy członkowie i rozpoczęła się mowa.

Przewodniczący mówił dużo i z przejęciem.

Chodziło o nieszczęsnych Jahutów, nad których losem rozmyślano.

Oddawna już Jahuci uznani byli za szkodliwych, niegodnych współżycia z rumakami, krwiożerczych i przynoszących krzywdę tamtejszym mieszkańcom.

Na kilku już poprzednich zebraniach rozważano nad tem, czy zniszczyć całkowicie to plemię, czy jeszcze utrzymać, jako niewolników.



I tym razem jeden z mówców powstał przeciwko istnieniu Jahutów, radząc wyniszczyć ich zupełnie.

Opowiadał przytem, że Jahuci powstałi w sposób bardzo dziwny, bo dwóch pierwszych, od których inni pochodzą, znalazło się naraz na górze, oświeconych promieniami słońca.

Jedni mówili, że ludzie ci spadli z promieniami słońca, drudzy, że wyrzuciła ich piana morska, to jedno wiedzą, że czy spadli z chmurą, czy z promieniami słońca, były to twory niepotrzebne i niegodziwe.

Z dwojga tych Jahutów, — opowiadał mówca, powstał cały naród. Była ich tak ogromna liczba, że zajęli każdy kawałek ziemi, pozjadali bydło i groził mieszkańcom tego kraju niedostatek.

Zrobiono więc na Jahutów obławę, wyłowiono wszystkich i starców i niedołężnych pozabijano, a młodych wzięto do pracy.

Zakończył mówca twierdzeniem, że stanowczo wytracić trzeba całe to szkodliwe plemię.

Po tych wywodach powstał przewodniczący i wyraził wręcz przeciwne zdanie.

Jahutów nie gubić, lecz przyuczać do dobroci, łagodności i pracy.

Wspomniął o Guliwerze, mówiąc, że i on jest Jahutem, ale jako delikatny, łagodny, nie jest szkodliwy i może być nawet bardzo użytecznym.

Dodał na zakończenie, żeby wszyscy mieszkańcy tej krainy, starali się jak najwięcej opiekować osłami i wpływać na ich charakter od maleńkości, a będą mieli najłagodniejszych pracowników.

Guliwer był zupełnie ze sposobu życia, jakie pędził w kraju koni, szczęśliwym.

Nie zakłócało jego spokoju nic... Ani spory polityczne, ani zawiść ludzka, ani intrygi wrogów.

W ciszy, w otoczeniu szlachetnych stworzeń wypoczął jego umysł, uciszyły się jego namietności i skłaniał się obecnie tylko ku dobremu.

Ta cisza kojąca wpłynęła dodatnio na zdrowie Guliwera.

Nie chorował od czasu przybycia tutaj ani razu.

Spał dobrze, apetyt na placki owsiane i mleko miał wyśmienity, nigdy najmniejsza dolegliwość nie kazała mu leżeć w łóżku.

Łóżkiem jego był leżak, który sam sobie zrobił, upłótszy go z nici konopnych, w leżaku tym sypiał i odpoczywał.

Do pokarmów jego przybył jeszcze miód leśny, znaleziony przezeń w dziupli drzewa.

Nauczył się go wyszukiwać i zjadał ze smakiem, dziwiąc się, czemu Jahuci czuli potrzebę konieczną jedzenia mięsa, czemu dobijali się o padłą krowę, staczając formalne bójki o kawał mięsiwa, — mając tak wyborne pożywienie, jak mleko, miód i owsianą mąkę.

Guliwer tak zatopił się całkowicie w tej ciszy i oddaleniu od ludzkich wad i postaci, że nie tęsknił już nawet za rodziną.

Pragnął do końca życia zamieszkiwać wśród tych spokojnych mieszkańców i ani pomyślał o odejściu.

Gdy naraz, w chwili błogiej radości z życia i zadowolenia wewnętrznego, gdy najspokojniej wypoczywał w swym leżaku, zjawił się przed nim poseł od jego Wysokości i poprosił, aby Guliwer stawiał się natychmiast przed swoim panem.

Sądząc, że tu idzie o jakąś opowieść z życia, Guliwer w podskokach pobiegł za

posłem i wnet stanął przed obliczem rumaka. Ale cóż usłyszał?

Oto, rumak wzdychając i przepelniony smutkiem powiedział mu, że parlament postanowił go, albo traktować jak zwykłego Jahuta, albo odesłać do kraju, z którego przybył.

Dodał przytem, że niektórzy dygnitarze oburzeni byli tem, że przypuścił on Guliwera do swego towarzystwa, rozmawiał z nim i znajdował przyjemność w obcowaniu z takim Jahutem.

Wprawdzie były głosy w parlamencie, ujmujące się za Guliwerem, jako stworzeniem z odrobiną rozumu i delikatnością w obejściu, ale w każdym razie wszyscy zaopiniowali, że Guliwer musi wyjechać z tego kraju, do swoich, gdzie i sam będzie się czuł szczęśliwym i potrafi drugich uszczęśliwiać.

Dodał przytem, że wyjazd ów ma się odbyć w terminie jaknajszybszym i że radzi, aby Guliwer spróbował albo przepłynąć morze, albo też zbudować sobie łódź i odjechać.

Posłyszawszy ten wyrok, Guliwer zemdlął.

Jego Wysokość sądził, że nie żyje, ale po jakimś czasie Guliwer otworzył oczy i przyszedłszy do zupełnej przytomności zaczął płakać i na swą dolę wyrzekać.

Nie pomogło to jednak. Wola parlamentu była stanowczą — musiał więc zgodzić się na dwumiesięczny termin i rozpoczął budowanie łodzi.

O przepłynięciu całego morza, nie mogło być mowy. Setki mil dzieliły Guliwera od drugiego brzegu, nie starczyłoby mu sił.

Przy pomocy służącego jego Wysokości zrąbał drzewo w lesie i w przeciągu sześciu tygodni zbudował łódź, która miała go wieźć do ojczyzny.

Przedtem jednak, zanim wyruszył, stanął na najwyższej górze i przez lunetę zauważył mały czarny punkcik, który zdał mu się być wyspą.

Do tejże wyspy postanowił dojechać łodzią przed wyszukaniem drogi do ojczystego kraju.

Gdy już wszystko było gotowe, naładował łódź pieczysem z kilkudziesięciu króli-

ków i bańkami z mlekiem, napieklł placków owsianych i wyszedł ku swemu panu i znajomym, aby się z nimi pożegnać.

Jego Wysokość pożegnał bardzo czule Guliwera, nazywając go w rozmowie swym synem, podał mu przednie kopyto do ucałowania i okazywał ogromny żal i wzruszenie.

Guliwer również z bólem serca żegnał szlachetnych, którzy obchodzili się z nim podczas jego u nich pobytu, z szacunkiem i starali się, aby mu było dobrze.

Gdy łódź ruszyła, jego Wysokość przyglądał się odjazdowi i na pożegnanie zarżał żałośnie.

Przez długi czas jeszcze widział Guliwer stojących na brzegu, aż wkońcu zniknęli mu z oczu i wnet rozpostarła się przed nim ogromna przestrzeń morza...

Nad głową zadumanego Guliwera, zawisło cudne, błękitne niebo, a setki ptasząt, unoszących się w przestworzu, śpiewały mu pożegnalne pieśni.

ROZDZIAŁ V.

Wpłynięcie Guliwera z łodzią wgłąb skały. Parodniowy pobyt na wyspie. Ucieczka i spotkanie okrętu hiszpańskiego. Powrót do domu.

Guliwer rozpoczął ową nieszczęsną podróż 15 lutego 1714 roku o dziewiątej godzinie rano.

Odjechał już daleko na swym statku a widział wciąż jeszcze stojące i wpatrujące się w łódź jego rumaki i usłyszał nawet wołanie ukochanego swego władcy:

— Hnuy illa nyha majah Jahou! — co znaczyło:

Strzeż się niebezpieczeństw, grzeczny Jahucie!

Guliwer żalosnym wzrokiem żegnał ukochane stworzenia, które szlachetnością przewyższały ludzi mu znanych i z radością myślał, że kiedyś może jeszcze zawita do tych stron i z miłymi sobie rumakami zasiądzie na murawie owsem obsianej.

Teraz marzył o wyszukaniu wyspy, gdzieby mógł zdala od ludzi mu nienawist-

nych dokonać życia i wypatrywał wciąż czarnego punkciku.

Do ojczyzny nie śpieszył się wcale, zdziaczał zupełnie, odwykł od mowy ludzkiej i nie był pewnym, czy potrafi odezwać się w swym języku.

Dostrzegł wreszcie bardzo małą, oddaloną o półtorej mili wysepkę i postanowił tam wylądować.

Była to skalista wysepka z obszarpanym urwiskiem, którą uformowały i zaostrzyły burze.

Guliwer wdrapał się na jedną ze skał i odkrył ku zachodowi kawałek ziemi, która rozciągała się od południa ku północy.

Zeszedł ze skały i przespawszy się w łodzi postanowił nazajutrz wyruszyć do owej ziemi i tam chociażby wypocząć.

Wiosłował więc z całej siły i dotarł do owej rzekomej ziemi.

Tymczasem punkt czarny, dojrzany przez lunetę okazał się znowu tylko skałą i wgłębieniem.

Guliwer wpuścił łódź do wgłębienia, sam wdrapał się na skałę i usnął.

Po paru godzinach wypoczynku, postanowił dalej jechać w kierunku zachod-

nim, pamiętając że w tej stronie właśnie jest jego ojczyzna.

Jechał morzem już dni parę, gdy naraz spostrzegł wysepkę.

Był to niewielki kawałek wody otoczony ze wszech stron morzem i zdawało się, nie zamieszkaany przez ludzi.

Przy płynął do tej wysepki, nałapał ostryg, któremi wkrótce głód zaspokoił, napił się wody źródlanej i, wszedłszy na wierzchołek wyspy, zaczął się wokoło rozglądać.

Zobaczył kilkunastu tylko mieszkańców. Byli to dzicy ludzie, zupełnie nadzy, z czarnemi twarzami i ciałem.

Stali wszyscy koło rozpalonego ogniska i ogrzewali ręce.

Guliwer na widok dzikich cofnął się natychmiast i zeszedłszy na dół, postanowił nie pokazywać się im na oczy.

W każdym razie nie była to wyspa bezludna, nie zamierzał więc Guliwer tu pozostawać.

Wcisnął się tylko w brzeg wyspy, nie wychodził po za tem miejscem, żywił się ostrygami, zachowując i oszczędzając więz te z sobą pożywienie i większą część dnia przespał.

Ale razu pewnego został przez gromadkę dzikich spostrzeżony.

Odłączyło się od całej gromadki kilku z mieszkańców i poczęło mu towarzyszyć.

Guliwer zaczął uciekać do łodzi, ale, gdy już odpływał, wypuszczono nań strzały... Jedna z nich ugrzęzła w lewej nodze i sprawiła mu duży ból.

Bojąc się, że strzała, jakto jest w zwyczaju u dzikich jest zatruta, Guliwer, oddalwszy się od brzegu, wyssał ją i obandażował, poczem puścił się w dalszą drogę, kierując się wciąż na zachód.

Jechał już tak czas jakiś, gdy wtem spostrzegł okręt, w jego stronę dążący.

Ukryć się postanowił, nie chcąc wracać do ludzi, od których odwykł.

Skierował się więc ku brzegom wysepki, którą zdala spostrzegł i przytwierdziwszy łódź, ułożył się w zagłębieniu skały.

Ale ludzie z okrętu dostrzegli łódź jadącą, zauważyli, że okryty skórami żeglarz, przybił do brzegu i gdzieś się ukrył.

Zaciekawieni tem zjawiskiem, zatrzymali się u brzegu i znaleźli Guliwera, leżącego twarzą do piasku i nie chcącego się podnieść.

Na rozkaz kapitana okrętu, podniesiono go z ziemi i postawiono przed załogą.

Guliwer miał głowę ku dołowi opuszczoną i na nic nie odpowiadał.

Kapitan, człowiek bardzo łagodny i dobry, zabrał go do swej kajuty i zaczął do niego przemawiać po angielsku, starając się go wybadać, skąd jest, w jaki sposób tu się znalazł i prosząc, żeby co zjadł.

Ale Guliwer odpowiedział dziwną mową, do rżenia końskiego podobną, że ma w łodzi jedzenie i niczego więcej do pożywienia nie przyjmie.

Wreszcie zniewolony prośbami kapitana zjadł kurczę i wypił wina.

Dano mu najwygodniejszą kajutę i najlepsze poślanie, ale rozebrać się nie chciał; w skórach swych rzucił się na poślanie i usnął.

Nazajutrz kapitan w sposób jaknajłagodniejszy wypytał go o przeszłość.

Culiwer widząc dobroć kapitana opowiedział mu wszystkie swe przygody w kraju koni, swą tęsknotę za temi szlachetnemi stworzeniami i swój wstręt do ludzi, których w mowie nazywał Jahutami.

Kapitan słysząc nieprawdopodobne rzeczy, opowiadane przez Guliwera, zrozumiał, że ma przed sobą obłąkanego.

Gdy jednak po dłuższej rozmowie, dostrzegł, że w rozmowie jego wiązało się jedno z drugim, że nie może go złapać na żadnej niekonsekwencji, poznał, że się omylił.

Opowiedział nawet Guliwerowi, że raz pewnego, kilku z jego załogi zatrzymało się przy brzegach Nowej Hollandji, aby nabrać wody do picia i spostrzegło rumaka, dowodzącego grupą innych zwierząt, których wygląd zgadza się najzupełniej z opisem przez Guliwera podanym, i że wierzy najzupełniej szczerości i prawdzie opowiadania, uważając Guliwera za człowieka rozumnego, ale wskutek odosobnienia od ludzi, trochę zdziczałego.

Po jakimś czasie, gdy Guliwer przywykł do towarzystwa kapitana i prowadził z nim nieraz rozmowy, zauważono, że okręt zbliża się do lądu.

Oznajmiono o tem Guliwerowi, mówiąc go, że odwiozą go wkrótce do ojczyzny.

Ale pociecha ta wywarła wręcz przeciwny skutek.

Guliwer rzucił się na kolana, błagając, aby go zostawiono na jakiej bezludnej wyspie, gdzie by nie widział nienawistnych mu Jahutów i mógł tylko w otoczeniu przyrody żyć i umierać.

Wytłomaczono mu obowiązek powrotu do rodziny, zamieszkania z żoną i dziećmi i wykazano niemożliwość wysłuchania jego prośby.

Guliwer zdawał się uspokajać, ale, jak tylko odeszli, chciał się rzucić do morza.

Zatrzymano go i zamknięto w kajucie, pilnując, aby mu jego zamiar odebrania sobie życia nie udał się.

Dopilnowano go wprawdzie, ale smutek i przygnębienie na twarzy Guliwera był tak widoczny, że wzbudzały żal w sercach tych zacnych ludzi, którzy chcieli go koniecznie wyleczyć z tej mizantropji, tj. nienawiści do ludzi.

Dobry kapitan starał się wszelkimi sposobami rozerwać ponury nastrój myśli Guliwera, ale nie udawało mu się to w zupełności.

Namowa jego, aby zmienił skóry królików na ubranie europejskie, również pozostała bez skutku.

Jedynie tylko, po długich namowach, zdecydował się przyjąć dwie koszule, które zmieniał co dwa dni, piorąc je bezustanku.

Tak dopłynęli do Lizbony, na której widok drżał Guliwer, myśląc o tem, że będzie zmuszony widzieć ludzi, a może nawet z nimi rozmawiać.

Przed dobiciem do brzegu zniewolono Guliwera do włożenia odpowiedniego ubrania tłomacząc mu, że w skórach króliczych nie mógłby się przecież pokazać na ulicy, że wygwizdanoby go i wyszydzono.

Poczem zaprosił go kapitan na cały czas pobytu w tem mieście, aby mieszkał u niego, dając mu, wedle jego życzenia lokal na najwyższem piętrze.

Tutajto Guliwer, przy pomocy służącego, który mu przynosił obiady i kolacje, powoli zaczął się przyzwyczajać do widoku ludzkich twarzy.

Służący ten, niezwykle uprzejmy i grzeczny, wpłynął na Guliwera, że ten czasem wysunął głowę przez lufcik i oswajał się z powietrzem miasta i widokiem jego mieszkańców.

Stopniowo Guliwer, pod wpływem wspomnianego służącego, przerzucił się na niższe

piętra, aż wreszcie, pewnego dnia zgodził się na przechadzkę po mieście.

Wreszcie zawinął okręt u przystanku i kapitan zaprowadził osobiście Guliwera, z opatrzywszy go w bilet i pieniądze.

Guliwer próbował i teraz jeszcze przekonać kapitana, że życie będzie w możliwości wśród ludzi, że radby zamieszkać na bezludnej wyspie, nie wracać do rodziny i nie mieć nigdy styczności z ludźmi, do których czuł wstręt niepokonany.

Wytłomaczył mu kapitan, że to są tylko chorobliwe mrzonki, że chociażby na jaką bezludną udał się wyspę, wszędzie znaleźć może ludzi i to ludzi złych, nie cywilizowanych, jak tych, do których jedzie i że powinien czempędzej powracać do swoich.

Guliwer musiał się poddać i żegnany serdecznie przez kapitana, wsiadł na okręt i wyruszył do kraju.

Jakżeż różnił się powrót Guliwera od powrotu znanego rozbitka Robinsona.

Tamtemu każda minuta oddzielająca go od kraju, zdawała się być wiekiem — dla Guliwera zaś myśl, że wkrótce zetknie się z ludźmi, była straszliwa i radby odwlec tę chwilę.

O, z jakąż uwagą obserwował Guliwer każdą chmurkę na niebie, każdy ciemniejszy obłoczek!

Radby widzieć burzę, rozszarpane szczątki okrętu i siebie wyrzuconego na brzeg jakiej niezamieszkałej wyspy, lub pogrążonego w falach morskich.

Siedział całymi dniami w kajucie, odcięty od ludzi, nie rozmawiający z nikim i ponurym wzrokiem wodzący po ścianach.

Pochyloną głową wstrząsały nieraz dreszcze, były to odpychane przez niego myśli, że z ludźmi obcować będzie zmuszony.

I przyszedł dzień, że Guliwer po latach pięciu nieobecności w ojczyźnie, po przejściach dziwnych i prawie nie do uwierzenia, znalazł się w rodzinnem mieście Roterhit, wśród swoich.

Powitały go radosne okrzyki żony i dzieci, rozpoczęły się zapytania i pocałunki.

A Guliwer stał nieprzystępny i zimny, oddając obowiązkowe ucałowania, lecz nie wkładając w nie serca.

Pamiętał jeszcze wpojone w umysł pojęcia o Jahutach i nie rozczulało go powitanie, przeciwnie, drażniło go niewymownie.

Czy został takim Guliwer do końca?
O, nie!

Wprawdzie, za pierwsze zarobione pieniądze kupił sobie dwa konie, wybudować kazał wspaniałą stajnię i często do niej zaglądał, rozmawiając z ukochanymi stworzeniami, ale po jakimś czasie przywykł i do rodziny, i do towarzystwa ludzi, pozostając jednak trochę dziwakiem i unikającym nowych znajomości.

KONIEC.



Spis rzeczy.

CZĘŚĆ I.

	str.
OZDZIAŁ I. W kraju Liliputów. Powody, które skłoniły Guliwera do podróżowania	3
OZDZIAŁ II. Król Liliputów odwiedza swego więźnia w świątyni.	14
OZDZIAŁ III. Widowisko dane na cześć Guliwera. Niebezpieczne skoki lilipucich ministrów	27
OZDZIAŁ IV. Opis stolicy Liliputów, miasta Mildendo i pałacu monarchy.	34
OZDZIAŁ V. Zbrojenie się wroga. Zdobyć kilkunastu okrętów przez Guliwera	39
OZDZIAŁ VI. Zwyczaje Liliputów, ich literatura, prawa, sposób wychowywania dzieci	43
OZDZIAŁ VII. Przybycie na wyspę Blefusku. Domaganie się Liliputów o wydanie Guliwera.	51

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I. Podróż do Brobdingak. Guliwer na morzu. Straszliwa burza. Ucieczka przed olbrzymem.	60
ROZDZIAŁ II. Piastunka Guliwera. Przedstawienia w miasteczkach	7
ROZDZIAŁ III. Przedstawienia na dworze królewskim. Sprzedanie Guliwera królowej. Wypadek z małpą	8
ROZDZIAŁ IV. Wyprawa nad morze. Porwanie przez orła. Ocalenie i powrót do ojczyzny	9

CZĘŚĆ III.

ROZDZIAŁ I. Guliwer podróżuje w charakterze kapitana okrętu. Bunt załogi. W kraju Houyhnmśów	100
ROZDZIAŁ II. Guliwer zaprowadzony do jednego z mieszkańców. Kłopot ze znalezieniem odpowiedniego pożywienia dla Guliwera	113
ROZDZIAŁ III. Guliwer wyucza się języka mieszkańców. Wizyta Houyhnmśów. Opowiadanie Guliwera o przygodach	120
ROZDZIAŁ IV. Dokończenie opowiadania. Parlament koński. Zadowolenie Guliwera i chęć pozostania zawsze wśród koni	13
ROZDZIAŁ V. Wpłynięcie Guliwera z łodzią, wgląd skały. Parodniowy pobyt na wyspie, ucieczka i spotkanie okrętu hiszpańskiego. Powrót do domu	140